

1089

Enst. Tetr.

Enst.

53.

Wreble.

Handwritten notes and scribbles on a light blue paper fragment.

1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

*Dla
suplementu*

Panstw. Teatr Śląski

SYG

1089

Katowice — BIBLIOTEKA

1867 Lechow



Nr 1089 *Prasa Rozmowa*

BIBLIOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH.

Nr. 13.



WRÓBLE

komedja w trzech aktach

przez

PP. LABICHE I DELACOUR.

Halgorzata

Pichor

GŁÓWNY SKŁAD

w księgarni P. H. TRICHTERA we Lwowie.

1897

1911 402

RECEIVED

W. B. ROY

RECEIVED

5-78/11412



R 809

541048

11

WRÓBLE

k o m e d j a w 3 a k t a c h

przez

PP. LABICHE I DELACOUR.

OSOBY:

BLANDINET.

HENRYKA, druga żona Blandineta.

LEON, jego syn.

FRANCISZEK, brat Blandineta.

ALFRED, jego syn.

ALBERTIN, przyjaciel Blandineta.

LAURA, jego córka.

JÓZEF, służący Blandineta.

MAŁGORZATA, pokojówka
Blandineta.

MIZABRAN, szewc.

DRUGI SZEWC.

Rzecz dzieje się w Paryżu za naszych czasów.

A K T I.

(Salon elegancko umeblowany, drzwi w głębi i po bokach, w środku sceny stół zastawiony, po lewej stolicek, po prawej sofa).

SCENA I.

*Henryka — Leon — później —
Józef.*

(Henryka z robótką w rękę —
Leon siedzi obok niej).

Henryka. Twojemi zwierzeniami
nie dajesz mi dokończyć roboty.

Leon. Wielkie nieszczęście!

Henryka. Laura nie będzie z
tego zadowolona.

Leon. A więc to jest dla niej
przeznaczone?

Henryka. To jest fant na lo-
terję dobroczynności, którą ona się
zajmuje. Ona ma tu przyjść dzisiaj
po to.

Leon. A więc zobaczymy dzisiaj
pannę Aubertin?

Henryka. Tak jest, zobaczymy ją.

Leon. Przyrzekasz mi pomówić
z nią?

Henryka. Przyrzekam! ty zaś
pomów z jej ojcem. I jeżeli wszy-
stko, jak się spodziewam, pójdzie
gładko, to za piętnaście dni pań-
stwo Blandinet będą mieli zaszczyt
uwiadomić przyjaciół i znajomych
o małżeństwie swego syna i pa-
sierba pana Leona Blandinet z panną
Laurą Aubertin.

Leon. Jakażes ty dobra!

Henryka. Macocha musi być po-

dwójnie dobrą, ażeby walczyć z przesądem.

Leon. Mój ojciec żeniąc się po wtórnie, dał mi w tobie siostrę. (*Józef wchodzi i stawia półmisek na zastawionym stole, bierze krzesło z lewej strony i przystawia do stołu.*)

Henryka. Pomimo tego, mój panie, możesz mi być uległym i posłusznym.

Leon (*udając małe dziecko*). Dobrze, matczko.

Józef. Proszę pani, śniadanie już na stole!

Leon (*do Józefa*). Proś mojego ojca.

Henryka (*do Józefa*). Pan jest w swoim gabinecie, gdzie właśnie odbywa zamach stanu.

Leon. Zamach stanu? jakto?!

(*Józef na lewo wychodzi.*)

Henryka. Pisze listy do swoich lokatorów... zawiadamia ich o podwyższeniu czynszu.

Leon. Mój ojciec podwyższa czynsz lokatorom?... (*śmieje się*) cóż znowu, to niepodobna!... On, który od lat dwudziestu nie mógł się zdecydować!

Henryka. Namówiłam go tego poranku... o! miałam wiele trudu. Ciągłe mi tłumaczył, że to już nie są jego lokatorowie, ale przyjaciele, że ryzykuje utratę dwudziestoletniej przyjaźni.

Leon. Biedny ojciec! zawsze ta nadzwyczajna dobroć serca.

Henryka (*spuszczając Blandineta, który wchodzi z papierem w rękę*). Otóż i on.

(*Henryka i Leon wstają — Leon przechodzi na lewo.*)

SCENA II.

Ciż sami — *Blandinet* — później — *Józef.*

Henryka (*do męża*). I cóż? już skończone?

Blandinet. Już ~~skończone~~? już skończone? ty myślisz, że to tak łatwo idzie. (*Rozwijając papier, który trzyma w rękę*). Zredagowałem mały bruljonik, tylko to jedno.

Leon. Ach! co tu poprawek.

Blandinet. Tak, bo starałem się złagodzić wyrażenia. (*czyta*). „Wielmożny Panie“. (*wstrzymując się*). Hm! Wielmożny Panie, — do ludzi, którzy od dwudziestu lat płacą mi czynsz.

Henryka. To napisz: drogi panie.

Blandinet. A tak. (*Bierze ołówek*). Zaraz poprawię, bo zapomniałbym potem. (*poprawia*). Drogi panie. (*czyta*). „Drogi Panie! wierząc mi, że z sercem zakrwawionem biorę pióro do ręki, ażeby nakreślić tych kilka słów“.

Henryka. Bardzo dobrze.

Blandinet. Czy to nie będzie za sucho?

Leon. Ależ nie.

Blandinet (*czyta*). „Jednakowoż powody, których doniosłość pan uznasz, a które panu zaraz wyłuszczyć, zmuszają mnie do powzięcia ważnego postanowienia“.

Leon. Wybornie!

Henryka. Cóż dalej?

Blandinet. Otóż na tem stanąłem.

Henryka i Leon. Jakto?

Blandinet. Zapowiadał im, że wyłuszcze powody, a nie mam żadnych. B!... gdybym je miał, ale kiedy nie mam. — Moje mieszkania w jakim stanie je zastałem, w takim dotychczas się znajduje, ani ich nie powiększyłem, ani restaurowałem, przeciwnie sufit już czarne — zamki popsute... ależ to oni

powinniby żądać odemnie zmniejszenia czynszu. — ~~Trzeba będzie ich~~

Henryka. Bez wątpienia, mój kochany, ale kiedy wszystko drożeje...

Blandinet (ożywając się). Nie, nie! krok, do którego mnie namawiacie, jest szkaradny, okropny!

Leon. Mój ojciec!

Henryka. No, no — nie mówmy już o tem; siadaj do stołu.

Blandinet. Nie, nie jestem głodny. Gdy człowiek ma takie listy do pisania, to...

Henryka. Napiszesz innym razem, przy następnym terminie.

Blandinet (zadowolony). Otóż tak będzie najlepiej. Będę przynajmniej miał czas szukać powodów... dobrych... jeżeli są jakie (siada do stołu, do Leona). Podaj mi rzodkiewkę!... ale a propos — wiecie, że mój brat Franciszek przyjeżdża z Elbeuf?

Henryka. Przygotuje pokój dla niego.

Leon. Jestem pewny, że ~~strój~~ podwyższa czynsz lokatorom.

Blandinet. Jeżeli ma jakie powody. O! ja jeżeli mam jakie powody, to jestem bardzo ostry, a nawet za ostry.

Henryk. Ty?

Leon (śmiejąc się). Kochany ojciec!

Blandinet. Świadkiem Williams, nasz dawny furman.

Henryka. Upijał się codziennie.

Leon. I wywracał trzy razy tygodniowo.

Blandinet. Ale też obszedłem się z nim bardzo surowo. Wyrzuciłem go za drzwi.

Henryka. Powiedz raczej, że ja wyrzuciłam go za drzwi.

Blandinet. A tak, ty! ale ja powiedziałem do ciebie: „Nie chcę go więcej widzieć — niech się wynosi.“ — A tyś wykonała dalsze szczegóły.

Leon. Ojciec zaś kazałeś mu dać przez Józefa sto franków na drogę.

Blandinet. Co to za papla ten Józef. (do Leona). Nalej mi wina.

Leon (nalewając). Czy wiadomo ci ojcie, że wczoraj na giełdzie obiegaly niepokojące wieści o twoim bankierze panu Tourneps? mówiono, że chory.

Blandinet. O! biedny człowiek, muszę go odwiedzić.

Leon. Ale chory na kieszeń.

Blandinet. Doprawdy? — o, to nie miła dla mnie wiadomość.

Leon. Tembardziej, że masz u niego złożone trzy kroć sto tysięcy franków.

Blandinet. To prawda!

Leon. Jeżeli pozwolisz wycofać je...

Blandinet. Oh! tak nagle? — toby go obraziło.

Leon. Jednakowoż...

Blandinet. Trzeba te pieniądze wycofywać powoli... nieznacznie, tak, po 10 tysięcy franków.

Leon (na stronie). To się nigdy nie skończy.

Blandinet. Ale — a propos! powiedziano mi, że mój szwec Mi-zabran przychodził tu dziś rano.

Henryka. On tu przyjdzie jeszcze. Także jeden z lokatorów, który ci płaci pięknymi słówkami.

(Józef wnosi na tacy kawę i filiżanki)

Blandinet. To ojciec rodziny. A potem on winien mi tylko za sześć kwartałów.

(Józef zbiera talerze i stawia przed każdym filiżankę z kawą i podaje cukierniczkę).

Leon. Za sześć kwartałów!

Blandinet. Tak! ale on daje mi ciągle a conto. — Przeszłego tygodnia jeszcze przyniósł mi trzy pary butów.

Henryka. Których nie zamawiałeś u niego.

Blandinet. To prawda! on był tyle dyskretnym, że mi je zrobił z własnej ochoty.

(Józef wychodzi).

Henryka. Tym sposobem masz sześćdziesiąt par nowych butów w szafie.

Blandinet. Cóż chcesz? ja mało zużywam obuwia, a potem to wasza wina. Gdybyście u niego kazali sobie wszystko robić, zkwitowałby się bardzo prędko. Poczciwe człowieczyśko! on chce pracować z całej duszy.

Leon. O! dziękuję. On robi ojcę buty, jak na słonia.

(Józef wnosi flaszkę likieru i stawia na stole).

Blandinet. Tak! ale za to zrobione na urząd i nie cisną wcale.

Józef. Proszę pana.

Blandinet. Co tam?

Józef. Przyszedł pan Mizabran. Powiada, że w sprawie czynszu.

Henryka i Leon (zdziwieni).
Oh!

Blandinet. A widzicie! przynosi mi pieniądze. (Do Józefa). Poproś go tutaj. (Do Henryki i Leona). Nigdy nie trzeba ludzi sądzić zbyt pośpiesznie.

(Wchodzi Mizabran. Józef wychodzi zabierając tacę z filiżankami).

SCENA III.

Ciż sami — Mizabran.

Blandinet. Proszę pana, panie Mizabran, proszę bliżej.

Mizabran. O! przepraszam — ja może przeszkadzam państwu — przyjdę innym razem.

Blandinet. Zostań pan! jestem na pańskie rozkazy. Siadajże pan.

Mizabran (spogląda na lewo, a nie widząc krzesła, stawia kapelusz na ziemi). O! dziękuję -- ja nie jestem zmęczony.

Blandinet. No! i cóż tam słychać? — pańskie interesa poprawiły się, co?

Mizabran (wyciąga miarę z kieszeni). Eh! moje interesa. (Kłęka przed Blandinetem i bierze mu miarę).

Blandinet (w pierwszej chwili nie spostrzega tego). A jednak mówiono mi... (Spostrzegłszy). A pan co robisz?

Mizabran. Myślałem, że na rachunek czynszu... (Wstaje).

Henryka (cicho do Blandineta).
Zawsze ta sama piosnka.

Leon (cicho). Sześćdziesiąt i pierwsza para.

Blandinet (cicho). Ja mu to powiem, bo to już nadużycie. (Wstając, głośno). Panie Mizabran! spodziewam się, że nie weźniesz mi za złe tego, co ci powiem. Ale muszę ci się przyznać, że dzisiaj... (Spoglądając na Henrykę ze zناعzeniem, podnosząc głos) spodziewałem się trochę pieniędzy.

Mizabran. Wierzaj mi pan...

Blandinet (zniżając głos). Nie wszystkiego, nie — ale troszeczkę.

Mizabran. To nie moja wina, panie Blandinet... z pewnością! gdybym mógł... bo dziś rano jeszcze

powiedziałem do żony: „Nie ma większego szczęścia, jak zapłacić czynsz“.

Blandinet. Bardzo ładnie! takie zasady przynoszą pannę zaszczyt.

Mizabran. Ale obuwie nie odchodzi... to z powodu wojny tureckiej... ja temu nic nie winien.

Blandinet (do żony i syna, siadając przy stole). Fakt jest, że on temu nic nie winien.

Mizabran. Już nie wspominam nawet o tem, że moja żona jest chorą i że mój najmłodszy dzieciak ma koklusz. Kaszle tak, że mało suflity nie popękają.

Blandinet (przestraszony). O jej, panie!...

Mizabran (żywo). Ale my uważamy na to.

Blandinet. Dziękuję panu.

Mizabran. Nie chcę także o tem mówić, że nie możemy palić w piecu.

Blandinet. A to dla czego?

Mizabran. Bo tak! dym, że mało oczu nie wygrzybie.

Blandinet. To sadza... czy każesz pan czyścić komin?

Mizabran. Tak jest, panie! dwa razy do roku.

Blandinet. Ha! w takim razie to piec...

Mizabran. Zapewne! i gdybyś pan był łaskaw kazać wstawić nowy wachlarz i nowe drzwiczki...

Blandinet. Fakt jest, że... *(Henryka daje mu znaki, Blandinet poprawia się).* A! za pozwoleniem — pan żądasz odemnie reperacji.

Mizabran. Ja, panie? ja niczego nie żadam. Pan i tak jesteś zanadto dobry; żeby się panu przypodobać nie będziemy wcale w piecu palić.

Blandinet. Ja tego nie mówię.

Mizabran. Pomimo tego, każe czyścić komin, bo jestem dobrym lokatorem.

Blandinet. Wiem o tem, wiem.

Mizabran. Wierzaj mi pan, gdyby nie to, że mój najmłodszy dzieciak ma koklusz, a moja żona fluksję...

Blandinet (na stronie). Biedni ludzie! *(Głośno).* Pan powiadasz: wachlarz i drzwiczki... przecież to nie wielkie rzeczy.

Mizabran. Nic prawie. Pan zawołasz jakiegobądź mularza, kominiarza, pierwszego lepszego budowniczego — to się to załatwi w okamgnieniu.

Blandinet. Dobrze, dobrze, bądź pan spokojny. Ja napiszę do pierwszego lepszego... *(Poprawiając się)* do mojego budowniczego.

Mizabran. Dziękuję pannę!... pomimo tego, zrobiłeś mi pan wielką przykrość!

Blandinet. Ja?

Mizabran. Tak jest. Dałeś mi pan uczuć, że nie wierzysz, jakoby ja chciał zapłacić mój czynsz.

Blandinet (żywo). Ale ja tego nie mówię... pan mnie źle zrozumiałeś, panie Mizabran. *(Wstaje).*

Mizabran (rozrzewniając się). To bardzo przykro, jak się jest uczciwym człowiekiem, kiedy się ma...

Blandinet. No, no — odwagi! jakoś to będzie.

Mizabran. O! ja nie mam szczęścia.

Blandinet (zatrzymując go, cicho). No, no — zrób mi pan dwie albo trzy pary butów, tylko nie mów nic mojej żonie.

Mizabran. Dobrze panie! zwróć tylko uwagę, że pańska noga utyla.

Blandinet. Oh!

Mizabran. Ja nie mówię dla tego, aby podwyższyć cenę, nie!

Blandinet. Jednakowoż, jeśli to stanowi wielką różnicę...

Mizabran. O nie, panie! dawnym klientom nie podwyższa się cen.

Blandinet (na stronie). To bardzo ładnie! on ma serce. (Głośno). Do widzenia, panie Mizabran.

Mizabran (kłaniając się). Całuję rączki państwu.

Blandinet (odprowadzając go do drzwi). Odwagi, odwagi!

Mizabran. Ah, panie! gdyby nie Turcja...

Blandinet. No, no — jakoś to będzie, jakoś to będzie.

(Mizabran wychodzi)

SCENA IV.

Ciż sami, bez Mizabran, później
Józef.

Blandinet (siadając przy stole). Biedny człowiek! byłem cokolwiek szorstki dla niego.

Leon (śmiejąc się). A może nawet za szorstki.

Henryka Ale koniec końców — nie dostałeś ani grosza, i przyrzekłeś mu piec naprawić.

Blandinet. Eh! cóż, to bagatela! wachlarz i drzwiczki! A potem ci ludzie nie mogą zostać bez ognia. Wynajmuje im mieszkanie z piecem, a zatem piec musi funkcjonować, trzeba być logicznym.

Henryka. Ależ on nie płaci ci czynszu za ten piec.

Blandinet. To znowu inna kwestja... tylko nie mieszkajmy kwestji. Jedno z dwojga, albo...

Józef (wychodzi). Lokatorowie pańscy przyszli

Blandinet (do żony). Widzisz? w południe — co to za punktualność!

(Henryka i Leon wstają)

Henryka. Czy przynoszą pieniądze?

Józef. Nie wiem! ale przychodzą z jakimiś reklamacjami.

(Wchodzi Małgorzata i pomaga Józefowi wynosić stół)

Blandinet. Proś ich do mojego gabinetu.

Henryka (do Leona). Dobrze zrbisz, jeżeli będziesz towarzyszył twojemu ojcu.

Leon. Z największą chęcią.

Blandinet. Otóż tak, będzie najlepiej, bo we dwójkę to jakoś!... jeżeli zażądają czegoś odemnie, to powiem im, że to do ciebie należy.

(Mają zamiar wyjść, wchodzi Alfred)

SCENA V.

Ciż sami — *Alfred.*

Leon. Ah! Alfred.

Henryka (na stronie). Oh!
(Leon zbliża się do macochy)

Alfred. Dzień dobry, stryjaszku, dzień dobry, Leonie. (Oddaje Henryce ukłon, z którego widać, że między nimi są napięte stosunki)
Stryjanko...

Blandinet. Co ty porabiasz? nie widziałem cię wieki! Dawniej siedziałeś u mnie po całych dniach.

Alfred (zakłopotany). To prawda, stryjaszku — ale teraz... zajęcia.. interesa... pracuję bardzo...

Blandinet. Oh!

Alfred. Nadzwyczajnie. (Zmieniając ton). Czy ojciec mój jeszcze nie przyjechał?

Blandinet. Jeszcze nie! spodziewamy go się lada chwilę.

Alfred. Kazał mi czekać tutaj na siebie.

Blandinet. Gdyby nie to, byłbyś nie przyszedł. O! mam ochotę wyłajać cię... ale w tej chwili czeka mnie kilka osób. Tymczasem zostań tu w towarzystwie twojej stryjanki. Pójdź, Leonie... A więc jak czego zażądają, powiem, że to do ciebie należy.

(Wychodzi z Leonem na lewo).

SCENA VI.

Henryka — Alfred.

(Henryka, która podczas wejścia Alfreda siedziała z robótką w ręku, zwróciła się po wyjściu Blandineta.)

Alfred zbliża się do niej z wachaniami.

Alfred. Stryjanka nie pracuje już więcej? robota skończona?

(Henryka kłania się z powagą i wychodzi na prawo).

SCENA VII.

Alfred — później — Franciszek.

Alfred (sam, patrząc za Henryką). Zawsze ta sama historia, gniewa się jeszcze. Stryjanka jest bardzo miła, ale drażliwa, zanadto drażliwa.

(Zgłębienie w przedpokoju)

Franciszek (wchodzi). A to sławne! żąda na piwo... to mi doróżkarz... nie mnie brać na kawał. *(Kładzie torbę podróżną w głębi po lewej).*

Alfred. Ah! ojciec! Dzień dobry, ojciec.

Franciszek. A, to ty, mój chłopcze!

Alfred (chce go uściskać). Pozwolisz, ojciec?

Franciszek (wstrzymuje go). Czekaj... tylko słowo... Jakżeż tam robota?

Alfred. Dobrze.

Franciszek. A konduita?

Alfred. Wyborna!

Franciszek. Obyczaj?

Alfred. Bez zarzutu.

Franciszek. Dobrze! teraz pocałuj mnie! *(Całują się na stronie).* Otóż tak się prowadzi dzieci.

Alfred. A co tam słychać w Elbeuf?

Franciszek. Nie źle, nie źle. Bawełna trochę skrewiła, ale korty i sukna ożywiły się. *(Z energią).* Zobaczysz, że my jeszcze pobijemy ich na kwaśne jabłko.

Alfred. Kogo?

Franciszek. Kogo? no, Anglików. Postawiłem piętnaście nowych przedziałni — tylko im na złość. — Gdzież jest mój brat?

Alfred. W swoim gabinecie. Ale ja mu dam znać. *(Chce odejść).*

Franciszek (przechodząc na prawo). Nio, nie — Nie przeszkadzaj mu. Pogadajmy jeszcze. Powiadasz więc, że pracujesz?

Alfred. Tak jest, ojciec.

Franciszek. Ale czy to prawda?

Alfred. Ojciec wątpisz?

Franciszek. Nie... ale ja wierze tylko w to, co widzę... Czy masz jaką sprawę?

Alfred. Jeszcze nie, nie mam jeszcze żadnych procesów. Ale ja daję lekcję prawa, korepetycji...

Franciszek. I zarabiasz tym sposobem.

Alfred. Tak jest ojciec

Franciszek. Ile naprzykład?

Alfred (wachając się). Ale...

Franciszek. Ile?

Alfred (rezolutnie). Czteryście franków miesięcznie.

Franciszek. To ładnie, pokaz mi je.

Alfred. Kiedy nie mam ich przy sobie.

Franciszek. Wiesz, com ci już raz powiedział — jak będziesz miał jakie oszczędności to mi je przyszlesz.

Alfred. Dobrze, ojcze.

Franciszek. Przyrzekłem ci dzień się procent, aby cię zachęcić do oszczędności; ale dotychczas nie przysłałeś ani grosza.

Alfred. Później... później... bo tego roku umeblowałem się.

Franciszek. Przyjdę jutro do ciebie zobaczyć twoje meble.

Alfred. A potem kupiłem złoty zegarek z łańcuszkiem — patrz, ojcze — oto jest.

Franciszek. Zegarek w Paryżu? to rzecz zbyteczna! Tyle tutaj zegarmistrzów!

SCENA VIII.

Ciż sami — *Blandinet* — *Leon*.

Blandinet (wchodząc z synem). Powiadają ci, że mają słuszość. Oni nie powinni płacić za okna i za drzwi.

Leon. Ale, mój ojcze, kiedy to taki zwyczaj.

Blandinet. Wynajmując im mieszkanie, więc muszą któregoś wejść do niego — trzeba być logicznym.

Franciszek. Ale kiedy ci powiadają, że to taki zwyczaj...

Blandinet. Ah! Franciszek... nie spostrzegłem cię. Jakżeż ci się podrożowało?

Franciszek. Bardzo dobrze. (Po-
dają sobie ręce).

Blandinet. A co tam słychać w Elbeuf?

Franciszek. Nie źle, nie źle! korty i sukna ożywiają się.

Blandinet. Chwała Bogu! tem lepiej.

Leon (witając się z Franciszkiem). Stryjaszek mnie nie poznaje? (Przechodzi po przed ojca).

Franciszek. Ale! Leon, mój bratanek (podaje mu rękę).

Blandinet. Nie widziałeś go od dwóch lat, tymczasem wyrosły mu wąsiki.

Franciszek. Ty pozwolisz na to?

Blandinet. Na co? aby zapuścił wąsiki? a cóż mnie to obchodzi?

Franciszek. Tam do licha! jak widzę, nie nadużywasz twej władzy ojcowskiej.

Blandinet. A twój syn jak się miewa?

Franciszek. On?

Blandinet. Zdaje mi się, że... (Patrzy na Alfreda, na stronie). Patrzcie państwo, on ogolił wąsy!

Franciszek. I cóż porabia twój chłopak z wąsikami?

Blandinet. Jest adwokatem.

Leon. Jestem adwokatem.

Blandinet. Tak, jak twój syn.

Franciszek. A czy ma jakie sprawy?

Leon. O! jeszcze nie.

Franciszek. Jak widzę, adwokaci w Paryżu nie mają żadnych spraw. Czemże się zajmują?

Blandinet. No... no... Chodzi na spacer... bywa w świecie...

Alfred (do ojca). Słyszysz, ojcze?

Franciszek (do Alfreda). Cicho! nie słuchaj tego.

Blandinet. A potem pomaga mi zarządzać majątkiem.

Franciszek. No — to nie bardzo męczące.

Leon (na stronie). Czego on się w to miesza. *(Przechodzi na lewo).*

Franciszek. Ja z zasady jestem tego przekonania, że młody człowiek od dwudziestego roku życia jest już człowiekiem. Rodzice nic na niego wydawać nie powinni. *(Do Alfreda).* Słyszysz?

Alfred. Słyszę, ojcze.

Blandinet. Jakto! nic? — a z czegoż będzie żył?

Franciszek (wskazując Alfreda). Przypatrz mu się! — gdy skończył lat dwadzieścia, przestałem go żywić, powiedziałem mu: „Jesteś człowiekiem, pomagaj sobie jak możesz“. I on sobie pomaga, daje lekcje prawa, korepetuje... koniec końców — zarabia na życie. Czy tak?

Alfred. Tak jest, ojcze.

Blandinet. Ale przecież posyłasz mu czasami cośkolwiek?

Franciszek. Pięć luidorów na moje imieniny — pięć luidorów na nowy rok. Pieniądze te lokuje na moim domu, płacąc od nich dziesięć procent, które znowu lokuje na domu

Blandinet. Więc on z tego nic a nic nie odbiera.

Franciszek. W pierwszym roku chciał mnie wziąć na lep. Napisał do mnie list pełen romantycznych teorii, aby mnie rozczulić, ale ja odpowiedziałem mu w dwóch słowach: „Nie tobie brać mnie na kawał — twój całem sercem etc.“

Blandinet. I on kocha ciebie?

Franciszek. Jakto! czy on mnie kocha? *(Rubasznie do Alfreda).* Kochasz mnie?!

Alfred. Ko... Kocham, ojcze.

Franciszek. A widzisz.

Blandinet (na stronie). Zapytuje go tak gwałtownie...

Franciszek. A twój? — ileż ty mu dajesz miesięcznie?

Leon (na stronie). Jakże ten stryjasek niedyskretny.

Blandinet. No, daję mu... daję... ile zażąda; my się tam nie rachujemy.

Leon. Jak nie mam już pieniędzy to mówię mojemu ojcu.

Alfred. Otóż tak, to rozumiem!

Franciszek (do Alfreda). Nie słuchaj tego. *(Przedrzeżniając słowa Leona)* „Jak nie mam już pieniędzy, to mówię mojemu ojcu.“ To ładna historia.

Blandinet. Leon jest bardzo umiarkowany.

Franciszek (wskazując Alfreda). Kiedy ten chłopak przyszedł na świat, otworzyłem dla niego rubrykę: pagina 183 — folia 18ta, rachunek Alfreda; wiesz, ile mnie kosztował od urodzenia?

Blandinet. Nie.

Franciszek. Dwanaście tysięcy franków! Cóż ty na to?

Blandinet. To tyle co nic! I to ze wszystkimi wydatkami?

Franciszek. Ze wszystkimi. — Dwanaście tysięcy franków i ze dwadzieścia centymów za porto listu, w którym mu zapowiedziałem, że już nic więcej odemnie nie dostanie.

Blandinet. Muszę ci powinszować! bo Leon kosztował mnie więcej jak dwa razy tyle.

Franciszek. Dwadzieścia cztery tysięcy franków?!

Blandinet. I nie żałuję tego! Dochowałem się chłopca dzielnego! Mam w nim przyjaciela.

Leon (wzruszony). O tak! — który cię kocha i szanuje jako najlepszego i najtłaskawszego ze wszystkich ojców. (Całują się).

Franciszek (na stronie). Oho! nie mnie brać na kawał takimi sztuczkami. (Głośno). Gdzież jest mój pokój?

Blandinet. Zawsze ten sam, obok mojego gabinetu.

Franciszek (biorąc torbę — do Alfreda). Zjesz obiad ze mną — przepędzimy cały wieczór razem.

Alfred (na stronie). Ah! co za nudy.

Franciszek. Co?!

Alfred. Eh — nic! tylko... ja mam dziś wieczór lekcje... bardzo ważną.

Franciszek. No, to dobrze! ja zjem obiad z twoim stryjem, a jutro przyjdę zobaczyć twoje meble. A teraz, kiedym cię widział, kiedy wiem, że ci się dobrze powodzi, wracaj do twojego zajęcia.

Alfred. Do widzenia, ojcie! żegnaj cię, stryjasku! (Cicho do Leona). To stary wyjadacz ten mój ojciec — nieprawdaż? (Wychodzi).

Franciszek (na stronie, patrząc za Alfredem). Otóż tak się wychowuje dzieci. (Wychodzi na lewo bocznymi drzwiami).

SCENA IX.

Blandinet — Leon — później —

Aubertin i Laura.

Blandinet. Dwanaście tysięcy franków, przez lat dwadzieścia... hm!...

Leon. A tak — mój stryjasek wychowuje dzieci na rabat.

Aubertin (wchodzi głębią z

Laurą). Dzień dobry ci, Blandinet. (Idzie z Laurą na prawo, gdzie ona siada).

Blandinet. Ach! to ty, Aubertin, co tobie jest?

Aubertin (cicho do Blandineta). Nic! oddał ztąd dzieci. Chciałbym z tobą pomówić.

Blandinet. Ze mną? (Głośno do Leona). Zaprowadź Laurę do matki. Zdaje mi się, że ona ma jakiś interes do niej.

Laura (wstając). A tak! mam dostać od niej fant na loteryję; właściwie po to tu przyszedłam.

Blandinet. A więc idźcie, moje dzieci.

(Leon i Laura wychodzą na prawo).

SCENA X.

Blandinet — Aubertin.

Blandinet. No, mówże! bo jesteś taki pomieszany...

Aubertin. Spodziewam się... już trzy noce oka nie zmrużyłem.

Blandinet. Czy twoja żona zachorowała?

Aubertin. Nie, mój przyjacielu! ale od miesiąca nie mam żadnych wiadomości od „Pięknej Ireny“.

Blandinet. Co, co? — „Pięknej Ireny“?

Aubertin. To nazwa parowca, którego oczekują z Indji.

Blandinet. Ah! to co innego. Ja myślałem, że to jaka...

Aubertin. Powinna by już zawiązać do Hawru od ośmiu dni.

Blandinet (zajęty pierwszą myślą). Nie pochwalilibym takich rzeczy.

Aubertin. Dotychczas nie sygnalizowano jeszcze...

Blandinet. A więc twój parowiec spóźnia się.

Aubertin. Gdyby tylko o to chodziło... Dwa miesiące temu dostałem wiadomość, że udało mu się sforsować blokadę — ale może go spotkały na pełnym morzu korsarki rosyjskie.

Blandinet. Tam do diabła!

Aubertin. Przesłiczny parowiec! Cały naładowany szalami indyjskimi i słonową kością... A wiesz, że teraz szale indyjskie to złoto.

Blandinet. Czyś zaasekurowany?

Aubertin. Nie! bo żadne towarzystwo nie chciało przyjąć asekuracji podczas wojny. Spodziewałem się wkrótce sprzedać moje towary, ponaznaczałem terminu wypłat, tymczasem towary moje dotychczas nie nadchodzą. A jeżeli jutro w południe nie będę miał pewnej sumy, to będę zmuszony zawiesić moje wypłaty.

Blandinet. Ah, mój Boże! mój przyjacielu... i ile, ileż to ci potrzeba?

Aubertin. Potrzeba mi znacznej sumy.

Blandinet. Znacznej?

Aubertin. Zebrałem co tylko można, ale brak mi jeszcze piętdziesięciu tysięcy franków.

Blandinet. Ah, chwała Bogu! takeś mnie przestraszył.

Aubertin. Jakto?

Blandinet. Myślałem, że nie będę ci w stanie pożyczyć.

Aubertin. Jakto? ty?

Blandinet. To się rozumie.

Aubertin. Ale nie, nie — ja nie chcę...

Blandinet. Dla czego?

Aubertin. Bo nie będę ci w stanie oddać, jeżeli parowiec nie przybędzie.

Blandinet. A cóżby to była za

zasługa pożyczyć przyjacielowi pieniędzy na pewne? w takim razie on mógłby pożyczyć w banku francuskim.

Aubertin. Ale...

Blandinet. No, no Gueni — nie bądź dziecinny.

Aubertin (z uśmiechem). Gueni...

Blandinet. Nazywałem cię tak, gdyśmy chodzili do szkół. Teraz byłoby śmieszne nazywać cię zdrobniale, ale jak człowiek sam, bez świadków, w cztery oczy z dawnym przyjacielem... to tak przyjemnie przypomnieć sobie dawne czasy i nazywać się tak, jak dawniej. Ot, wiesz co, nie ma nikogo — nazwij mnie Mundziem — to mi przyjemność sprawi.

Aubertin (rzucając mu się na szyję). Mundziu!

Blandinet. Gueni! (Całują się). Zdaje mi się, żeś odmłodniał.

Aubertin. Dziś z ciebie przyjaciela.

Blandinet. Nie gadaj głupstw, Gueni! — Teraz zobaczę, co tam jest w kasie, a pojutrze w południe będziesz miał swoje pieniądze. — A co do twoich szalów bądź spokojny! one się wymkną Moskalom. Jeszcze nie jedno wymknie się Moskalom (Wychodzi na lewo).

SCENA IX.

Aubertin — później *Leon*.

Aubertin (sam). Dziś przyjacielu! — nie ma to jak dawni przyjaciele. Teraz pędzę na telegraf — może już nadeszły jakie nowiny.

Leon (wchodzi). Pan wychodzisz, panie Aubertin?

Aubertin. Tak! mam interes w

mieście, ale przyjdę tu wkrótce po córkę.

Leon. Ja... chciałem z panem pomówić.

Aubertin. Ze mną? — słucham cię, mój chłopcze.

Leon. Ale to ważna bardzo sprawa.

Aubertin. To nic nie znaczy, byle była krótka.

Leon. Oh! bardzo krótka.

Aubertin. Mówże.

Leon. Panie Aubertin... ja Kocham pannę Laure.

Aubertin. Ah, prawda! to nie długie,

Leon. Spodziewam się, że i ona mnie pokocha! A mojem najgorętszem życzeniem jest ożenić się z nią.

Aubertin. Mój drogi Leonie! moja odpowiedź będzie tak zwięzła, jak twoje zapytanie! Jesteś dzielny i poczciwym chłopcem... Kocham cię, bo wrodziłeś się w ojca... i byłbym szczęśliwy, ale to bardzo szczęśliwy, gdybyś został moim zięciem.

Leon (uradowany). Ah, panie!

Aubertin. Ale okoliczności, których ci nie mogę udzielić, nie pozwalają mi dać ci prędzej stanowczej odpowiedzi jak za osiem dni.

Leon. Ja poczekam, panie Aubertin.

Aubertin. Poczekaj i zrób tak, jak ja i miej nadzieję.

Leon. O tak! ja mam nadzieję.

Aubertin (na stronie). Za osiem dni będę bogaczem albo bankrutem. (Głośno). Miej nadzieję.

Leon. Jakże pan jesteś dobry... (Aubertin wychodzi. Leon go odprawia; w tej chwili wchodzi Laura, Leon zamyka drzwi w głębi).

SCENA XII.

Leon — Laura — później Franciszek — w końcu Blandinet.

(*Laura wchodzi pracując nad robotką, którą miała przedtem pani Blandinet i siada po prawej.*)

Leon (spoztrzęsłszy ją). Jakto! pani pracujesz nad tą robotką?

Laura. Muszę, bo dziś rano przeszkadzałeś pan pani Blandinet i nie mogła dokończyć!

Leon. Ah... więc ona powtórzyła naszą rozmowę?

Laura. Podaj mi pan jedwab, proszę pana.

Leon. Natychmiast. (Szuka jedwabiu w koszyku, który stoi na stoliku).

Laura. Sądziłam, że zastanę tutaj mojego ojca.

Leon. Wyszedł w tej chwili, ale nie długo powróci — Miałem z nim małą pogadankę.

Laura (zaciekawiona). Ah! pogadankę — a o czym?

Leon (z intencją). Pani żądałaś jedwabiu — oto jest! (Podaje).

Laura. Ależ nie! ja pana pytałam...

Leon (zbliżając się do krzesła). Przepraszam — ja sądziłem.. ładny dzień dzisiaj. (Siada).

Laura. Bardzo ładny.

Leon. Niebo czyste — ani jednej chmurki.

Laura. No, no — tylko się pan nie drocz ze mną. — O czym mówiliście z ojcem?

Leon. Mówiłem mu o jednej pannie...

Laura. Ah!...

Leon. Którę pani nie znasz... o pannie, którą Kocham... i którą chciałbym zaślubić.

Laura. I cóż odpowiedział mój ojciec?

Leon. Powiedział: „Miej nadzieję“. (Wstaje i zbliża się do niej).

Laura (uradowana wstaje). Tak! (Zmieniając ton). Ale prawda — ja jej nie znam..

Franciszek (wchodząc do siebie). Otóż jestem ubrany. (Spostrzega Laurę i Leona). Oho! przepraszam! ja wam przeszkadzam.

Leon. Wcale nie. — Stryjaszku! przedstawiam ci pannę Laurę Aubertin.

(*Franciszek* przechodzi po przed *Laure*).

Franciszek (kłaniając się). Pani! miałem rozmaite interesa z twoim ojcem; to człowiek pracowity — widzę, że pani wrodziłaś się w niego. Masz słuszość — ja lubię ludzi pracowitych.

Leon (na stronie). To przymówka do mnie.

Franciszek. Ładna robótka! Co to właściwie będzie?

Laura. Torbeczka na chustki... fant na loteryę, dobroczynności, którą ja się zajmuję — ja rozsprzedaje bilety.

Franciszek (na stronie). Dobryś! wpadłem w łapkę.

Laura. Chcemy tym sposobem przyjść w pomoc biednym sierotom.

Franciszek (na stronie). Sierotom?... nie mnie brać na kawał

Laura (wyciąga bilety z kieszeni). Ile pan sobie życzy?

Leon. No, stryjaszku!..

Franciszek. Oh! ja... ja często... brałem bilety... na takie loterie... ale tylko raz jeden wygrałem... parę pantofli — i te były za małe.

Laura. Ja mam szczęśliwą rękę.

Franciszek. Ha! — dajże pani za dwadzieścia franków. (Na stronie, do siebie). Jakoś wypadł, z ojcem miałem interesa. (Daje dwadzieścia franków, Laura wręcza mu bilety).

Blandinet (wchodzi rachując na tabliczce). Trzydzieści jeden tysięcy... a dwadzieścia pięć akcji Kredytu Lyońskiego po tysiąc czterdzieści franków — to wystarczy... (Spostrzega Leona). Ah! Leon, weź-no kapelusz, i pobiegnij do mego ajenta — zmieńsz dwadzieścia pięć akcji Kredytu Lyońskiego, tylko jak najrychlej.

Leon. Dobrze, ojcze.

Blandinet. A śpiesz się, bo wkrótce zamkną giełdę.

Leon. Wezmę fiakra. — Do widzenia, stryjaszku.. Pani! (Wychodzi). — *Laura* odprowadza go do drzwi — wraca do stolika i pracuje).

SCENA XIII.

Blandinet — *Franciszek* — *Laura* (z robótką).

Franciszek. Sprzedajesz Kredyt Lyoński, czy obawiasz się zniżki?

Blandinet. Nie — ale potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy franków.

Franciszek. Oh!

Blandinet. Przysięgłem pożyczyc je jednemu z moich przyjaciół.

Franciszek. Co, co?

Blandinet. Dawnemu koledze.

Franciszek. Ależ to niepodobna! tys oszalał!

Blandinet. Dla czego?

Franciszek. Pięćdziesiąt tysięcy franków. Cóż to za przyjaciel?

Blandinet. To jest... (Spostrzegając Laurę). Nie, nie mogę ci wymienić jego nazwiska.

Franciszek. Pewnie jakiś intrygant! wydrwigrosz!

Blandinet. Franciszku! dajże pokój — nie wyrażaj się tak.

Franciszek. A czy daje ci przy najmniej jaką hipotekę?

Blandinet. Mówię ci przecież, że to przyjaciel.

Franciszek. Ty mnie do rozpacz przywiedziesz z swoim przyjacielem.

Blandinet. Gdybyś znał jego położenie...

Franciszek. Nie potrzebuję go znać! Ja się domyślam. Pewnie ci opowiedział jaką głupią historję, jaki rozculający melodram — a tyś uwierzył wszystkiemu. — Ah! jakiś ty głupi!

Blandinet. Ale...

Franciszek. Tak jest, głupi! ty wierzysz wszystkiemu.. dajesz się ciągle łapać na plewy, to też oblegają cię żebracy.

Blandinet. Ja nie daję się nikomu łapać. A jak potrzeba, to jestem taki ostry, jak ty! Dziś rano jeszcze wleżałem jednego lokatora.

Franciszek. Oh, prawda! zapewne tak, jak robotników, kiedyśmy byli współnikami w Elbeuf.

Blandinet. No, zdaje mi się, że wteilezas...

Franciszek. Oddałem pod twój dozór warsztat, w których dzieci pracują, jako najłatwiejsze do prowadzenia.

Blandinet. Mój drogi, to trudno! widząc te dzieciaki pracujące osiem godzin dziennie, zrobiło mi się przykro...

Franciszek. I powiedziałeś im: „Odpocznijcie sobie dzieci — nie pracujcie tak — zdrowie przede wszystkim“.

Blandinet. Być może, ale za to jak mnie słuchały.

Franciszek. Oh, prawda! tak cię słuchały, żeśmy stracili na tem dwieście franków dziennie.

Blandinet. Przesadzasz znowu.

Franciszek. Byłem zmuszony wyprowadzić cię do Paryża razem z twoim dobrem sercem.

Blandinet. Gadaj sobie co chcesz, ale robotnicy żalowali mnie.

Franciszek. Tak, jak osieł żałuje owsa.

Blandinet. Osieł, osieł! — eh! Franciszku!

Franciszek. A jakeś powrócił do Paryża, wycofałeś się zaraz ze spółki; byłeś rozgniewany na mnie.

Blandinet. Ale wcale nie! tylko pomyślałem sobie, że nie mogę dłużej wzbogacać się krwawym potem...

Franciszek. A, ślicznie! bawisz się teraz we frazesy, jak wszyscy ludzie, którzy już nie prowadzą interesu. Ah, ja dalej wzbogacam się tym krwawym potem i zamiast debatować z temi dwudziestu pięciu tysiącami rocznego dochodu...

Blandinet. Jeżeli mi to wy starcza...

Franciszek. O! ty daleko zajdziesz, mając serce jak wór dziurawy.

Blandinet. Każdy ma swój sposób widzenia. Ja nie mogę jeść z apetytem, jak widzę koło siebie ludzi głodnych.

Franciszek. Ludzi głodnych? — któż to jest głodny?

Blandinet. Ci, którzy nie mają co jeść. — Wczoraj na przykład — bo wy nie znacie takich rzeczy w Elbeuf — spotkałem na ulicy biedaka, który ucie nie jadł od pięciu dni.

Franciszek. On ci to powiedział?

Blandinet. Tak! on mi to powiedział — a właściwie nie — ja wydobyłem z niego z trudnością to wyznanie.

Franciszek. I dałeś mu co?

Blandinet. Zdaje mi się.

Franciszek. Otóż to wzięto cię na kawał — bo nie można żyć pięć dni bez jedzenia.

Blandinet. A ty zkąd wiesz — czyś próbował?

Franciszek. Nie.

Blandinet. No to spróbuj.

Franciszek. Trzeba mu było kupić bochenek chleba — a byłbyś się przekonał co to za ptaszek.

Blandinet. Jaktó!

Franciszek. Byłby ci w nos rzucił bochenek.. Oho! nie mnie brać na kawał.

Blandinet. O tak! nie ciebie brać na kawał, zdaje ci się, że na tem cały rozum spoczywa. Przychodzi przyjaciel, przyjaciel od lat czterdziestu, zwierza się tobie z kłopotów, ze zmartwień, a ty zamiast mu podać rękę, zamiast mu pomódz, powiesz: „oho! nie mnie brać na kawał“. — Ubogi spotka cię na ulicy, zamiast jałmużny, powiesz: „nie mnie brać na kawał“, — Masz syna naprzykład, jedynaka: pewnego pięknego poranku wyrzucają go na bruk, a kiedy biedaczysko zakłopotany, wygłodzony może, idąc za instynktem dziecka, zwraca się do swego ojca, ty mu odpisujesz: „nie mnie brać na kawał“ — i wciągasz dwa dziecięcia centymów, od listu za porto na jego rachunek. To nie godnie! to źle! to szkaradnie! — Doprawdy, uwierzę w końcu, że jesteś..

Franciszek. Czem, czem? dokończ!

Blandinet. Nie! nie powiem, bo to by ci przykrość sprawiło.

Franciszek. Jużś skończył?

Blandinet. Już.

Franciszek. Chodźmy teraz na obiad do Brebanta. Idę przywitać się z twoją żoną i powiedzieć jej, że cię zabieram.

Blandinet. Chętnie poszedłbym do Brebanta, bo tam dają dobrze jeść, ale...

Franciszek. Tylko bez dyskusji. Dla mnie świat podzielony jest na dwie części. Na jednej są ci, którzy biorą na kawał, a drudzy są ci, którzy nie biorą na kawał. My nie zamieszkujejmy tej całej części, ot i cała historia.

Blandinet. Pochlebiam sobie.

Franciszek. I zawsze ci to powtarzam. Z twojemi frazesami i twoim sentymentalizmem całe życie będziesz głupcem.

(Wychodzi na prawo).

SCENA XIV.

Blandinet — Laura — później

Franciszek.

Blandinet. Głupcem!

Laura (zbliżając się do niego).

A ja panu powiadam, że będziesz zawsze dzielny człowiekiem.

Blandinet (całując ją). Moja droga! tyś słyszała?

Laura. Tak jest! nie przestawaj pan wyznawać swoich zasad.. nie zaniechaj dobrych uczynków i niech co chcą mówią — zawsze to będą dobre uczynki.

Blandinet. To się rozumie.

Laura. Co pana wdzięczność obchodzi? Dobry uczynek nie jest lokacją kapitałów.

- Blandinet. Naturalnie! (Na stronie). Szkoda, że Franciszek ztąd wyszedł.

Laura. Ja naprzykład żywie mnóstwo wróbli.

Blandinet. Doprawdy?

Laura. Co rana rzucam im okruszyny na balkon. W zimie usuwam śnieg z balkonu, ażeby im było łatwiej jeść... w lecie ustawiam kwiaty, aby je uchronić od słońca. Czy pan myślisz, że one są mi za to wdzięczne? wcale nie. Jeżeli zbliżę rękę do którego, to mnie dzióbnie tak silnie, że aż krew idzie.

Blandinet (oburzony). Ah!

Laura. Ale ja nie żądam od nich wdzięczności. One mi nic nie winne. Są to stworzenia boskie cierpiące głód, a ja jestem szczęśliwą, że mogą je nakarmić. Pan masz także swoje wróble... każdy ma swoje wróble.

Blandinet. O, moja droga! niechże cię pocałuję! (Całuje ją i ociera oczy).

Franciszek (wchodząc na stronę). Dobryś! teraz się rozbeczy. (Kaszele silnie, aby zwrócić jego uwagę). Hm! hm!

Laura (spóstrzegłszy go). Do widzenia, panie Blandinet! nie zapominał pan o wróblach, nie zapominał!

(Wychodzi na lewo).

SCENA XV.

Blandinet — Franciszek.

Franciszek. No, chodźmy na objad... aha! prawda — twoja żona kazała mi jakiś list ci doręczyć.

Blandinet. List? (Otwiera go). Ah, mój Boże! nieszczęśliwy!

Franciszek. Cóż tam znowu?

Blandinet. Powiadasz, że ludzie nie umierają z głodu... posłuchaj: (Czyta). „Zwracam się do pana, zdanego z dobroci serca“...

Franciszek (na stronie). Jakiś kawał!

Blandinet (czyta). „Jestem bez roboty“...

Franciszek (na stronie). Próźniak!

Blandinet (czyta). „Mój ojciec jest ślepy, matka sparaliżowana, a oprócz tego mam troje niemowląt, które wołają o chleb“...

Franciszek (na stronie). Ładno niemowlęta, co już umia mówić.

Blandinet (czyta). „Czy zostawisz pan nas w nędzy? — pan, którego szlachetność jest tak znaną! Simonot. Ulica du Contrat. Nr. 15. b. siódme piętro, drabina po prawej“. (Wzruszony). Lizie się do nich po drabinie.

Franciszek (z ironią). To nie-wygodnie dla ślepego ojca.

Blandinet (w dobrej wierze). I dla matki sparaliżowanej. (Cytując post scriptum). „Zostaw pan odpowiedź u stróża“. (Wyciąga pugilares). Biedni ludzie!

Franciszek. Co! dajesz się brać na kawał?

Blandinet. Takich rzeczy nie można myśleć... ojciec ślepy... drabina... matka sparaliżowana... a zresztą to są moje wróble! każdy ma swoje.

Franciszek. Co ty pleciesz?

Blandinet. Ah prawda! ty nie byłeś przy tem, — Jak myślisz... pięćdziesiąt franków wystarczy?

Franciszek. Dajże mi święty pokój! — albo czekaj — zrobmy zakład.

Blandinet. Zakład?

Franciszek. Że nie ma ani słowa prawdy w tym liście.

Blandinet. Cóż znowu?... ale dobrze — załóżmy się.. przynajmniej raz się przekonam, — A, o co zakład?

Franciszek. O objad u Brebanta! ale najsamprzód chodźmy go zjeść.

Blandinet. O nie! nie mógłbym jeść, mając list taki w kieszeni. Najsamprzód chodźmy odwiedzić tych biedaków.

Franciszek. Niech i tak będzie! ale ty zapłacisz objad z pewnością! Drabina na siódmym pięttrze... to mi się wydaje podejrzanem.

Blandinet (na stronie). On nie wierzy nawet, że ludzie na strychu mieszkają.

(Wychodzą).

(Koniec aktu Igo).

A K T I I.

(Sala jadalna, drzwi w głębi i po bokach, kredens, szafa, po prawej stół).

SCENA I.

Józef — Małgorzata — Henryka
później *Alfred.*

Małgorzata (sprzątajac). — To szczególne! nasz pan jeszcze nie wstał.

Józef. Jego brat także śpi jeszcze! Zdaje się, że dogodzili sobie wczoraj przy obiedzie.

Henryka (wchodząc z lewej w kostiumie na ulice). Jaki! o jedenastej godzinie jeszcze nie posprzątane?

Małgorzata. Właśnie skończyliśmy.

Józef. Nie chcieliśmy przebudzić pana.

Henryka. Co! on śpi jeszcze — może chory?

Józef. Nie, proszę pani! ale pan przyszedł późno, potem jeszcze czas jakiś spacerował po pokoju.

Henryka. Pewnie napił się kawy, a ta go rozdrażnia. — Powiedźcie panu, żem wyszła, że idę do kąpieli.

Józef. Dobrze, pani.

(Wychodzi z Małgorzatą).

Henryka (poprawiając suknię do zwierciadła). No, śpieszmy się.

Alfred (mówiąc za kulisy). Dzięki! ja poczekam.

(Henryka spostrzegłszy go wchodzącego, ubiera szybko zarzutkę).

Alfred. Ah, stryjanka! nie pytam się o zdrowie stryjanki, bo wyglądasz prześlicznie.

(Henryka zęgną go zimno i wychodzi).

SCENA II.

Alfred — później Leon.

Alfred (sam). Gniewa się jeszcze. Moja stryjanka bardzo miła — ale drażliwa.

(Leon wchodzi z lewej z kapeluszem na głowie).

Leon. Ah, to ty?

Alfred. Dzień dobry, Leonie! czekam tu na ojca.

Leon. Jeszcze śpi.

Alfred. Wiem o tem! był wczoraj.

raj na obiedzie z twoim ojcem. Ze wszystkiego domyślam się, że nasi patriarchowie za wiele rozprawiali z wdową Cliquot.

Leon. Cóż to ma znaczyć?

Alfred. Tak się wyrażają w naszej dzielnicy, aby dojść do zrozu mienia, że ktoś piwa nie lubi.

Leon. Tyś zawsze szalony.

Alfred. Bo ojca nie ma — a jednak dziś rano.. wcale nia mam ochoty do śmiechu.

Leon. Masz jakie zmartwienie?

Alfred. Nie — ale mam dwa- naście tysięcy franków długu.

Leon. Ty masz długi?

Alfred. Ojciec od dwóch lat przestał mi pomagać, musiałem zapukać do kredytu publicznego, a teraz kredyt publiczny gniewa się

Leon. Jakto!

Alfred. Rzuca mi arkusz papieru ze stemplami.

Leon. Stemplowany papier? zapewne cię ścigają?

Alfred. Tak mi się coś zdaje! nie wiem jakim sposobem te lotry dowiedzieli się, że mój ojciec jest w Paryżu? Korzystają ze sposobności.

Leon. Cóż ty teraz poczniesz?

Alfred. Nie wiem! daj mi jaką radę.

Leon. Tylko jedną masz drogę przed sobą: trzeba wszystko wyznać przed ojcem.

Alfred. O nie! daj mi inną radę.

Leon. Na twoim miejscu tylko takbym sobie postąpił.

Alfred. Ale co innego twój ojciec, a co innego mój ojciec. Twój ojciec to dzielny człowiek, którego kasa od czasu do czasu się otwiera, tak jak wszystkie kasy na świecie.

Zaś kasa mojego ojca nie ma ani drzwi, ani zamku, tylko jeden otwór! Jak tam co wpadnie, to nie wydobędziesz, chyba gwałtem!

Leon. Ty się mylisz! stryj Franciszek jest cokolwiek za surowy, ale serce wyborne! Koniec końców on cię kocha.

Alfred. A tak! koniec końców, na samem końcu.

Leon. A zresztą, nie ma innego środka.

Alfred. To prawda! gdybym mógł trafić na szczęśliwą chwilę... możybys ty podjął się tej misji?

Leon. O nie! takie rzeczy załatwiają się w cztery oczy między ojcem i synem, a potem ja muszę iść na miasto.

Franciszek (za sceną). Józefie! ciepłej wody!

Alfred. To on!

Leon. Zostawiam się — życzę szczęścia.

(Wychodzi na prawo).

SCENA III.

Alfred — Franciszek — później Józef.

Franciszek (wchodzi z drugich drzwi po lewej w szlafroku). Józefie! wody ciepłej! (Spostrzega *Alfreda*). Ah, to ty! po coż tu przyszedł?

Alfred. Wstałem dziś bardzo rano i pomyślałem sobie, trzeba pójść uściskać papę.

Franciszek. Ty przyszedłeś tu po to z drugiego końca miasta?

Alfred. Tak jest, piechotą.

Franciszek. Dziękuję ci, Alfredzie! ale nie lubię abyś tracił czas na podobne głupstwa.

Alfred (na stronie). Miły papa. (Głośno). Zapomniałem ojcu po-

wiedzieć, że mam ucznia w tej dzielnicy.

Franciszek. A! jeżeli cię interesa tu sprowadzają, to co innego. (Ścisną ją). Wczorajszy wieczór spędziłem bardzo wesoło! Dalem lekcję twojemu stryjowi.

Alfred (siłąc się na śmiech). Ah, to słicznie!... to bardzo ładnie.

Franciszek. Z czegoż ty się śmiesz?

Alfred. Z dowcipu ojca! ojciec dał stryjowi lekcję — a to wyborne!

Franciszek. Ja nie lubię pochlebców.

Alfred (na stronie, przestając się śmiać). Złe usposobiony.

Franciszek. Cóż to za uczeń, o którym mi wspomniałeś przed chwilą?

Alfred. Hm — mój Boże... ot uczeń. (Nagle zmieniając myśl). Właściwie to mój klient, który mnie prosił, abym przyszedł do niego, bo chce zasięgnąć mojej rady.

Franciszek. A zapłaci za nią?

Alfred. To się rozumie.

Franciszek. Ile?

Alfred. Dwadzieścia pięć franków.

Franciszek. To ładnie.

Alfred. I praca jest taka: mój klient jest synem zamożnej rodziny... bardzo miły i uprzejmy chłopak, który kocha bardzo swojego ojca, ale to bardzo! Ale miał to nie-szczęście, że narobił długów.

Franciszek. Zadłużył się?

Alfred. Oh, nie bardzo! wszystkiego dwanaście tysięcy franków.

Franciszek. Dwanaście tysięcy franków! (Gwałtownie). Z mojej strony powiedz twojemu klientowi, że jest hultajem!

Alfred. Ale za pozwoleniem! on ma bardzo słuszną wymówkę.

Franciszek. Nie ma żadnej!... młody człowiek, który ma ojca i należy do porządnej rodziny, a narobił długów, jest hultajem.

Alfred. Ale...

Franciszek (z gniewem). Odpowiadaj, czy podzielasz moje zdanie, tak czy nie?

Alfred. No... tak, tak, jest hultajem.

Franciszek. A widzisz.

Alfred (na stronie). Nie, dzisiaj nie mogę mu o tem powiedzieć.

Franciszek. Gdyby tobie coś podobnego się wydarzyło...

Alfred. To cóż?

Franciszek. Ale ja jestem spokojny. Ty jesteś stateczny, pracowity, oszczędny...

Alfred. O, oszczędny! nie wiele oszczędziłem.

Franciszek. Skoro kupujesz meble... Przyjdę zobaczyć je dzisiaj.

Alfred. O której godzinie?

Franciszek. O której jesz śniadanie?

Alfred. O dwunastej.

Franciszek. Przyjdę do ciebie na śniadanie tylko proszę cię, żadnych wybryków.

Alfred. Niech ojciec będzie spokojny. (Na stronie). On lubi wino węgierskie i nóżki cielęce... poczęstuje go tem... może go to dobrze usposobi.

Franciszek. Ogołę się i zaraz idę do ciebie.

Alfred. Do widzenia, ojcie. (Na stronie). Przy deserze przedłożę mu mój bilans.

(Wychodzi głośno).

(Józef wchodzi z miedniczką wody zimnej).

Franciszek. Poczciwe dziecko! kocham go bardzo, ale mu tego nie mówię. Ah! jesteś Józefie.

Józef. Jest woda.

Franciszek. Powiedz państwu, że jem śniadanie w mieście.

(Józef poprzedza Franciszka, który wychodzi do pokoju po lewej drugie drzwi).

SCENA IV.

Blandinet — później *Franciszek*, w końcu *Józef*.

Blandinet *(wchodzi z prawej, pierwsze drzwi, wolnym krokiem)*. Jestem smutny... Żle spałem... przychodzimy... na ulicę du Contrat Nr. 16ty... szkaradny zaułek... szkaradne domy... Ulica obrzydliwa... byłem wzruszony... Czy tutaj nie-szczęśliwy Simonot?... pytam stróża czule... Na piątym piętrze... drzwi na lewo... odpowiada... to mnie zdziwiło... bo w liście stoi najwyraźniej: „siódme piętro, drabina na prawo“. — No, ale mniejsza o to... idźmy na górę... klucz był we drzwiach... Otwieram drzwi bez hałasu... z dyskrecją miłosierdzia, które nawiedza nędzę. I wście państwo kogo zastajemy? — mojego furmana... Wiliama, którego moja żona... *(poprawiając się)* te... którego ja wypędziłem tak szorstko. Siedział sobie z drugim fagasem... na stole stało stało sześć butelek wypróżnionych... ojca ślepego ani śladu. Przyznaję, że mnie to otrzeźwiło trochę; są ludzie, którzy są w stanie wyleczyć człowieka z dobroczynności. Mój brat Franciszek tryumfował, śmiał się ze mnie, ale czegoż to dowodzi? trafiłem przypadkiem na oszust!... Są przecież wróble, które dziucią... nie

racja jeszcze, aby o innych zapominać.

Franciszek *(wchodzi ubrany)*.

No i cóż, panie filantropie?

Blandinet. Co takiego?

Franciszek *(śmiejąc się)*. „Na siódmym piętrze!... drabina na prawo“.

Blandinet. Proszę cię, daj już pokój. — Zapłaciłem objad... nie masz co gadać więcej.

Franciszek. Objad był bardzo dobry...

Blandinet. Spodziewam się — czterdziści siedem franków i pięćdziesiąt centymów. *(Dobry rachunek)*. „Zupa królewska dwa franki, raki trzy franki.“

Franciszek. Jakie raki? — ja nie jadłem raków.

Blandinet. Nie jadłeś? — i ja także nie.

Franciszek. Nawet nie podano ich na stół. Ha! panowie restauratorowie umia pisać rachunki.

Blandinet. Jakto! ty przypuszczasz?... ale prawda! przy drugim stole jakiś jegomość jadł raki — to pomyłka.

Franciszek. Być może! jednakowoż na twoim miejscu najprzód sprawdziłbym rachunek, a potem dopiero zapłacił *(Wskazuje flaszkę z wódką i cukierniczkę, którą Józef postawił na bufecie)*. Przytem zamysłalibyśmy cukier i wódkę, bo takie rzeczy ułatwiają się łatwo.

Blandinet. Dobryś! teraz będzie podejrzywał Józefa! Ależ ten człowiek służy u mnie od dziesięciu lat.

Franciszek. Mój kochany! ja należę do tych, których nie biorą na kawał. Do widzenia! Idę na śniadanie do mojego syna. *(Wychodzi)*.

Blandinet (sam). Hm! podejrzewa Józefa... Józef jest bardzo rzetelny! Jaby mu powierzył. . (Zbliża się machinalnie do cukierniczki i rachuje kawałki) Cztery, sześć, osiem... małeńki.. zjem małeńki. (Bierze go do ust). A teraz wódka (Bierze do rąk flaszkę). Nie dla tego, abym mu nie wierzył, ale aby zawstydzić mojego brata. — Jakby tu zaznaczyć? — Aha! chustką. (Mierzy). Doprawdy, wstydze się. Tak! wódki jest aż dotąd — zrobię węzelek. (Robi węzeł na chustce). (Wchodzi Mizabran z parą bótów).

SCENA V.

Blandinet — *Mizabran* — później *Józef* i inny szewc.

Blandinet. Ah! pan znowu?

Mizabran. Przynoszę pańskie buty.

Blandinet Ciszej! bo jak moja żona się dowie.

Józef (który wszedł właśnie). Pani nie ma w domu! Wyszła przed godziną... jest w kąpieli.

Mizabran. Niech - no pan się przypatrzy. (Daje mu do rąk jeden but, drugi stawia po prawej).

Blandinet (biorąc but). Hm! czy to dobre?

Mizabran. Tak jest, proszę pana! niech pan spróbuje... to najlepszy gatunek.

Blandinet (na stronie). To poczciwe człowieczysko! aż przyjemnie spojrzeć na niego.

Mizabran. Cieleca skóra... skóra sprowadzona z Bordeaux.

Blandinet. Tak! mnie się wydaje bardzo dobra. (W tej chwili wchodzi drugi szewc. — *Blandinet*

sposzrega go). Drugi szewc? — Cóż to, jakiś szewski dzień!

Józef (do drugiego szewca, który idzie na lewo). Pan Leon wkrótce tu nadejdzie — proszę poczekać.

Blandinet. Aha! to szewc mojego syna. — On mi także wygląda na porządnego człowieka. (Bierze do rąk bucik od drugiego szewca).

Drugi szewc. Proszę pana tylko porównać — co to za gatunek! To cieleca skóra, sprowadzona z Bordeaux. (Wskazując na but, który *Blandinet* trzyma w ręku). A to jest krowia skóra.

Blandinet (zdziwiony). Co? moje buty są...

Drugi szewc. Niech pan tylko porówna.

Blandinet (do drugiego szewca). Za pozwoleniem! (Idzie do *Mizabran* i pokazuje mu bucik syna).

Panie Mizabran! co to za skóra?

Mizabran. To?... krowia skóra. (Pokazuje na bucik *Blandineta*). A to cieleca.

Blandinet. Dziękuję. (Na stronie). Jeden z nich jest oszustem, a może i obydwu. (Głośno). Dobrze, moi panowie! możecie odejść. (Do *Mizabran*, który zabiera jeden but *Blandineta*). Za pozwoleniem! dajcie mi pan tamten.

Mizabran. Przepraszam! — to przez roztargnienie. — Sługa pana. (Szewcy oddalają się).

(*Blandinet* stoi na środku sceny i trzyma w jednej ręce but syna, w drugiej swoje buty — idzie na przed sceny).

SCENA VI.

Blandinet — później *Leon*.

Blandinet (sam). Nie mam dzisiaj szczęścia... to głupstwo... ale

mnie to gryzie... Nie można zatem wierzyć szewcom... nie wierzę także restauratorom.. (Stawia buciki na krzesło po lewej). Co to jest, że moja żona nie powraca? (Patrzając na zegarek, podejrzliwie). Dwie godziny w kąpieli? — hm, to szczególnie! Przyznać trzeba, że jestem bardzo dobroduszny... pozwałam Henryce wychodzić i przychodzić... kobieta młodsza odemnie... a nawet znacznie młodsza — przymtem przystojna i zalotna... tak przypuszczam, bo nigdy tego nie zauważyłem... Prawda, ona lubi skupować brylanty, koronki, aby się przypodobać. Dobryś!... zaczynam podejrzewać moją żonę; a wszystkiemu winien ten niegodziwy Franciszek. — On mnie napelnia czarnymi myślami.

Leon (wychodząc głębia). Powracam z giełdy! zmieniłem dwadzieścia pięć Akeji Lyońskich. (Podaje ojcu pugilares).

Blandinet. Dziękuję! (Chowa pugilares w zanadrze — po chwili namysłu zapina surdut). Mój przyjacielu! chciałbym z tobą pomówić.

Leon. I ja także, ojcze.

Blandinet (idzie po buciki syna i zbliża się z nim). Pozwól, niech ja zacznę: mój Leonie, ty nie wiesz o jednej rzeczy... twój szewc okrada cię... mój także. — Ci panowie dają nam krowią skórę.

Leon (obojętnie). Doprawdy?

Blandinet. Jestem pewny tego! ty masz za wiele zaufania do twego szewca... to błąd! tym ludziom do wierzać nie można... tak jak restauratorom. Inaczej będą ci liczyć raki... rozumiesz? a ty raków nie jadasz... i zapłacisz trzy franki za raki.

Leon. Całą tę historję, którą

mi ojciec opowiada, nie a nie nie rozumiem.

Blandinet. Ja cię uprzedzam i przestrzegam! ty jesteś młody, ty możesz jeszcze przyzwyczaić się do niedowierzania ludziom... podczas gdy ja... ale prawda! — a cóżes ty mnie miał powiedzieć? (Daje mu buciki i siada przy stole).

Leon (kładzie béciki na krzesło i siada z drugiej strony stołu). Idzie tu o projekt, o którym już mówiłem matce.

Blandinet. Matce! (Patrzy na zegarek). Półtrzecia godziny w kąpieli? to szczególnie.

Leon. Ja kocham pannę Aubertin!

Blandinet. Laure? — ah, ona jest bardzo miła! ona karmi wróble.

Leon. Mojem marzeniem jest ożenić się z nią.

Blandinet. Ha! jeżeli ci się podobaa...

Leon. Wczoraj wspomniałem o tem jej ojcu... a on kazał mi mieć nadzieję.

Blandinet. Jakto! jej ojciec? — to niepodobna!

Leon. Co takiego?

Blandinet. W jego położeniu...

Leon. Zdaje mi się jednak, że położenie pana Aubertin...

Blandinet. Ależ on jest zrujnowany! (Wstaje).

Leon (wstaje także). Jakto!

Blandinet. Już ja wiem, co mówię. — Jutro mam pożyczyć mu pięćdziesiąt tysięcy franków.

Leon. Może to tylko chwilowy kłopot?...

Blandinet. Niezawodnie! ja nie podejrzewam Aubertina... On jest moim przyjacielem — ale ty masz ładny mająteczek... piękne wdoki na przyszłość... można by więc

przypuszczać... Bo widzisz, Franciszek przypuszcza, że Aubertin spekuluje na twoją miłość do córki.

Leon (wzburzony). Ah! mój ojcze!

Blandinet. Ale to nie ja!... to Franciszek powiada. — Ta mała jest ładna... a ojciec posługuje się nią jak wabikiem.

Leon. Jakto! ojcze! — ty taki zacny! taki pocziwy!...

Blandinet. Mój kochany, ja znam ludzi.. od wczoraj wieczór...

Leon. Czyż można tak mówić o dawnym przyjacielu?

Blandinet. Ale to nie ja! — to Franciszek.

Leon. Doprawdy ojcze! sprawiasz mi przykrość.

Blandinet. Ale kiedy ci powiadam, że Franciszek..

Leon. Rodzinie, którą sam od dzieciństwa kazałeś mi szanować... podsuwać podobne zamiary...

Blandinet. Ale kiedy ci powiadam...

Leon (wychodząc na lewo pierwsze drzwi). Doprawdy! nie pojmuję ojca..

SCENA VII.

Blandinet — później Józef.

Blandinet (idąc naprzód sceny).

On ma słusznosc! ale to nie moja wina, ale wina szewców, raków i mojej żony, która nie powraca... (Patrzy na zegarek). Trzy godziny w kąpieli!... (Wkłada kapelusz na głowę). To nie prawdopodobne!.. coś w tem musi być. (Wola). Józefo! Józefo! (Wchodzi Józef). Podaj mi kapelusz.

Józef. Pan go masz na głowie.

Blandinet. He! co? — aha, prawda! Biegę do łazienek... ~~coś~~

~~w tem być musi!~~ (Wychodzi — słyhać dzwonięcie).

Józef. To pani dzwoni!... Zapomniałem panu powiedzieć, że pani od dwóch godzin wróciła. (Wychodzi na lewo — w tej chwili Alfred i Franciszek ukazują się w głębi).

SCENA VIII.

Franciszek — Alfred.

Franciszek (oparty na ramieniu Alfreda — obydwa są z lekka podchmieleni). Jotóż to u mnie śniadanie, co się zowie. Ostrygi, wino reńskie, nóżki ~~ba...~~ uraczyłeś ojca znakomicie. Pocałuj mnie, mój drogi.

Alfred. Kochany ojcze, co było w mojej możności...

Franciszek. Ty zaprosiłeś mnie na śniadanie — teraz ja zapłacę ci czarną kawę.

Alfred (na stronie). Teraz wezmę się do niego.

Franciszek. Zaprosiłbym cię na obiad, ale cóż — kiedy nie jestem głodny.

Alfred.. Ani ja! mam tylko pragnienie.

Franciszek. Ah, Alfredzie! ty może myślisz, że ja ciebie nie kocham?... dla tego, że jestem surowy dla ciebie... że ci nie posyłam pieniędzy... ale to dla twojego dobra! Mnie to bardzo przykro! I nie raz, gdybym usłuchał uczuć ojcowskich...

Alfred. Słuchaj ich ojcze, słuchaj.

Franciszek (rozculając się). Nie! ja wolę, abyś poznał biedę... abyś się nauczył pracować!... Widzisz, każdy wielki człowiek z początku umiera z głodu.

Alfred (protestując). Ah, dziękuję!

Franciszek. A czasami nawet umrze; ale bądź spokojny!... jak będziesz miał sławę, jak dobijesz się majątku, to już ci niczego nie odmówię.

Alfred. Jaki ojciec dobry.

Franciszek. Ah, Alfredzie! ty może myślisz, że ja ciebie nie kocham? ależ ty jesteś wszystkim dla mnie. — Jeżeli jeszcze pracuję, jeżeli spędzam życie na fabrykowaniu sukna i kortów, jeżeli u- stawiał piętnaście nowych prze- dzalni...

Alfred. To tylko na złość Anglikom.

Franciszek. To tylko dla ciebie! i na złość Anglikom. (Z wylaniem) Ucałuj mnie, mój synu.

Alfred. Z przyjemnością, ojeze! (Całują się — na stronie). Jestto najstosowniejsza chwila, aby się przyznać do dwunastu tysięcy franków długu. (Głośno). Ojeze! cokol- wiek by mnie kosztować miało...

Franciszek (przerzucając). Obejrzałem dokładnie twoje meble; wcale przyzwoite — tylko... wiesz co? masz za wiele komód!

Alfred. Mam tylko trzy

Franciszek. To za wiele.

Alfred. Ja wytłomaczę ojcu! to była okazja... trafiły mi się tanio i dla tego...

Franciszek (nie słuchając go, wpatruje się w niego czule). Jaki on zgrabny! jaki przystojny! — Wiesz co? — od dwóch lat nie dostałeś nic odemnie... dam ci coś!

Alfred (zdumiony). Mnie?!

Franciszek. Dam ci... moją szpilkę brylantową. (Wyjmuje ją z krawaty).

Alfred. Ah, ojeze!

Franciszek (wpinając mu ją w

krawat). Ona warta tysiąc dwieście franków. Pomyśl tylko, że trzy- dzieści lat ją noszę! i gdybyś ją przypadkiem zatracił, to nie pocie- szylbym się nigdy po tej stracie. (Nagle). Wiesz co? — oddaj mi!

Alfred (broniąc się). Ah, nie! nie!

Franciszek. No, to nie ruszaj się tak — bo się wysunie i zgu- bisz ją (Na stronie). Żłem zrobił, dając mu ją... On za młody.

Alfred (na stronie). Muszę już raz przystąpić do rzeczy. (Głośno). Ojeze! drogi ojeze!

Franciszek. Oh! jakże mnie głowa boli!

Alfred. To nie! chciałem z oj- cem pomówić o tym młodym czło- wieku... moim kliencie, który ma dwanaście tysięcy franków długu.

Franciszek. To urwisz! gdybym był jego ojcem, tobym go posłał do domu poprawy.

Alfred (na stronie). Dobryś!

Franciszek. Oh! jakże mnie głowa rozboleła! Muszę się prze- spać trochę.

Alfred. Ojeze...

Franciszek. O szóstej godzinie zejdziemy się w kawiarni Lemblina.

Alfred. Ta kawiarnia już nie istnieje.

Franciszek. No, to podedrzwiami tej kawiarni. — Do widzenia! a uważaj na szpilkę. (Na stronie). Niepotrzebniem mu ją dał — ale ja ją odbiorę w kawiarni Lemblina. (Wychodzi do swego pokoju).

SCENA IX.

Alfred ~~—~~ później Józef.

Alfred (sam). Nie ma sposobu! chciałem mówić podczas śniadania, ale jeszcze nie był dobrze usposo-

biony. A jednaż to pilna sprawa, bo mnie lada chwila mogą wpakować do kozy. — Oh! jakże mi się pić chce. (Spostrzega cukierniczkę i karafkę). Aha! zrobić sobie grogu. (Zbliża się do bufetu i robi grog). Przychodzi mi doskonała myśl! napiszę do woźnego. — Józefie!

Józef (wchodząc) Co pan każe?

Alfred. Podaj-no mi pióra i atramentu.

Józef (wskazując na stół). Po trzeba do pisania stoja na stole (Widząc go mieszającego grog). On gospodaruje jak u siebie. (Wychodzi na prawo).

Alfred (sam — pisze). „Szانونy panie! trzeba oddać hold winny sprawiedliwości; mój ojciec jest w Paryżu. przytrzymaj mnie pan, gdy będziemy razem spacerowali. Dziś wieczór o godzinie szóstej zastaniesz nas pan podedrzwiami dawnej kawiarni Lemblina.“ Tak! (Popija grog). Tym sposobem ojciec dowie się o wszystkim, nie będę potrzebował mówić mu i on zapłaci długi. (Zastanawiając się). Zapłaci... hm! a jeżeli mnie zostawi parę miesięcy w kozie? i w kozie trzeba mieć trochę pieniędzy. (Przeszukując kieszenie). Jednaście franków! Ale prawda! jakież ja głupi... pożyczę od stryjaska Blandinet dwadzieścia luidorów. A teraz trzeba oddać list. (Wychodzi na prawo, drugie drzwi).

SCENA X.

Henryka — później Blandinet.

Henryka (wchodzi ze swego pokoju i mówi za kulisy). Zapomniałam w kąpieli mufkę! — ~~pani~~ Małgorzata.

Blandinet (wchodzi z głębi bla-

dy i zmieniony, trzymając w reku mufkę). Ah! jesteś pani nareszcie!

Henryka (spostrzegając wyraz jego twarzy). Ah, mój Boże! co tobie jest?

Blandinet. Przychodzę z łazienek, moja pani. — Powiedziano mi tam, żeś od dwóch godzin wyszła z kąpieli?

Henryka (zdziwiona). Tak jest.

Blandinet. Cożś robiła od dwóch godzin?

Henryka. Byłam w domu.

Blandinet. Gdzie?

Henryka. Tutaj.

Blandinet. Nie widziałem pani.

Henryka. Siedziałam w moim pokoju i naprawiałam krawatki.

Blandinet. Oho! nie mnie brać na kawał.

Henryka. Co? co?

Blandinet. Masz pani mufkę! nie-mego świadka twojej winy.

Henryka. Co?! (Kładzie mufkę obok butów na krześle po lewej).

Blandinet. O! ja wiążę teraz, co się dzieje. Te częste przechadzki... te długie przesiadywania w kąpieli...

Henryka. Co chcesz przez to powiedzieć?

Blandinet. Pani masz romansik! to niepodobna, abyś nie miała jakiego romansu.

Henryka. Tyś oszalał!

Blandinet. Ja zastanawiam się dobrze nad wszystkim! — Jesteś młoda — prawda? — jesteś! Jesteś ładna? — jesteś! Jesteś kochetką? — jesteś!

Henryka. Ależ nie!

Blandinet. Wszystkie kobiety są kochetkami! Pani chcesz wmówić we mnie, że od sześciu lat naszego małżeństwa nikt nie umizgał się do ciebie. Wiesz pani, toby był nawet wstyd!

Henryka. A jednak to prawda.

Blandinet. Daj mi na to słowo honoru.

Henryka (zmięszana). Ale..

Blandinet. Wachasz się!? — a więc przyznajesz! Jego listy pani! żądam jego listów!

Henryka. Listów?! — wierzaj mi, że on nigdy nie pisał do mnie.

Blandinet. On! on! a więc jest jakiś on? byłem tego pewny!

Henryka (na stronie). Jakżem nie zręczna.

Blandinet. Jego imię pani! imię tego nędznika?

Henryka. Chcesz je wiedzieć koniecznie?

Blandinet. Koniecznie!

Henryka. To Alfred, — twój bratanek.

SCENA XI.

Ciż sami — *Alfred.*

Blandinet. Co! Alfred?

Alfred (wchodzi z prawej). Jestem do usług.

Henryka. Ah! (Ucieka do swego pokoju).

Blandinet (na stronie). On!

Alfred. Dzień dobry stryjaszku. (Na stronie). W tej chwili, o ile mi się zdaje, jest dobrze usposobiony. W oka mgnieniu dostanę dwadzieścia luidorów. (Głośno). Mój stryjaszku! mam ci uczynić jedno zwierzenie.

Blandinet. Ja także.

Alfred. Ah!

Blandinet (bardzo słodko). A więc mój drogi — umizgasz się do swojej stryjenki?!

Alfred (nadmawczaj pomieszaną). He! co! — kto to powiedział?

Blandinet. Ona sama

Alfred. Oh! (Na stronie). To nie ładnie ze strony stryjanek.

Blandinet. Nieszczęśliwy! więc ty nie szanujesz nawet własnej rodziny? Jakżeż takie nienaturalne uczucie mogło cię opanować?

Alfred. Bo widziałem tutaj codziennie... widzę z jednej strony młodą żonę, z drugiej starego męża...

Blandinet. Co!?

Alfred. Ale ona nigdy nie słuchała mnie nie chciała.

Blandinet. Spodziewam się! ale na wszelki wypadek daj mi słowo honoru.

Alfred. Daję słowo honoru!

Blandinet. Dziękuję. (Na stronie). I czegoż to dowodzi?

Alfred. A nawet pewnego dnia na schodach dała mi dwa policzki z każdej strony.

Blandinet (zadowolony). Ah tak! to dobrze, bardzo dobrze! (Na stronie). Jeżeli to prawda? (Po chwili namysłu). A cóż ty jej powiedział, że ona do tego stopnia uniosła się... na schodach?

Alfred. Eh, to... nie takiego.

Blandinet. Przecież?

Alfred. Stryjaszek wie! czasami człowiek chce pożartować... (Z zapalem). Ale ja uznałem mój błąd, moją zbrodnię... pogardzałem sobą.

Blandinet. Bardzo dobrze! czyń tak zawsze.

Alfred (na stronie). Już się udo-bruchał. (Głośno). Aby zagłuszyć w sobie te uczucia zbrodnicze, zacząłem prowadzić życie rozwiozłe...

Blandinet. Dobrze, bardzo dobrze!

Alfred. Oddałem się rozmaitym namietnościami...

Blandinet. Doskonale.

Alfred. Zakochałem się w innej kobiecie.

Blandinet. Wybornie! tylko tak dalej!

Alfred (rozczulając się coraz bardziej). Pokochałem biedną dziewczynę... córkę ludu...

Blandinet. To mi wszystko jedno.

Alfred. Którą muszę wspierać... moją pracą... trawiąc noce bezsenne...

Blandinet (ściskając mu ręce). Tylko tak dalej, mój drogi — odwagi!

Alfred. Jest to biedna szwaczka, której ojciec ślepy...

Blandinet (z niedowierzaniem). Eh!..

Alfred. A matka..

Blandinet. Zparaliżowana?

Alfred. Na wszystkie ręce i nogi.

Blandinet. Ehe!

Alfred. Naturalnie, moje poświęcenia wyczerpały moje nieznaczne fundusze... dla tego przyszedłem prosić stryjaszka, abyś był tak dobrym i pożyczył mi dwadzieścia albo dwadzieścia pięć luidorów. — Stryjaszek zna mnie z dobrego serca..

Blandinet (ogląda się). Pst!... cicho! (Alfred uradowany wyciąga rękę). Nie, nie! to nadaremne! (Tonem konfidencjonalnym) Mój kochany, nie mnie brać na kawał. Twój całem sercem etc.

Alfred. Zupełnie jak mój papa! to jego przysłowie. Jakto! stryj odmawiasz?

Blandinet. Stanowczo.

Alfred. O! nie jesteś już stryjaszkiem Blandinet. Otarłeś się o mego ojca. Żegnam!

Blandinet. Dokąd idziesz?

Alfred. Do kawiarni Lémblina! los mój już roztrzygnięty! (Wychodzi głębia).

SCENA XII.

Blandinet — ~~Henryka~~.

Blandinet. Gdyby nie matka zparaliżowana, byłby mnie złapał.

Henryka (wchodząc). I cóż mój drogi, widziałeś się z Alfredem?

Blandinet. Właśnie rozmawiałem z nim. Zdaje się, żeś ty na schodach...

Henryka. Co?

Blandinet (na stronie). Przekonajmy się, czy to prawda. (Głośno). Żeś na schodach okazała mu swoje uczucia.

Henryka. Co? — on śmiał tobie powiedzieć o policzku?

Blandinet. Tak jest, śmiał.

Henryka. I cóż z tego?

Blandinet. Ale ja chciałem usłyszeć jeszcze raz... (Po chwili namysłu). Ale co on tobie mówił na schodach? bo ostatecznie nie daje się policzków ni z tego ni z owego.

Henryka. Co mi powiedział? nie myśl o tem, szkaradny zazdrośniku! Niechaj ci wystarczy przekonanie, że masz żonę wierną i kochającą.

Blandinet. Nie chcesz mi powiedzieć?... to mi powiesz jutro.

Henryka. Dobrze, dobrze! innym razem. (Zapala świecę na bufecie).

Blandinet (na stronie). Dla czego ona nie chce mi powiedzieć?

SCENA XIII.

Henryka — *Blandinet* —

Franciszek.

Franciszek (wchodzi wściekły). Ah hultaj! a urwisz!

Blandinet. Kto taki?

Franciszek. Alfred! zabrano mi go z przed nosa i zaprowadzono do kozy, za długie.

Blandinet. Jakto! on ma długie?

Franciszek. Dwanaście tysięcy franków!

Blandinet. A widzisz?... teraz Alfred kosztuje cię dwadzieścia cztery tysiące franków, tak, jak mój. Jego rachunek zaczyna się zaokrąglać.

Franciszek. To mi wszystko jedno! ja nie zapłacę. — Niech siedzi w kozie do końca życia.

Blandinet. Do jutra rana.

Franciszek (wściekły). — Ah! chciałbym go mieć teraz w moich rękach! (Nagle). Pójdę do niego. (Idzie w głąb).

Blandinet. A to po co?

Henryka (na stronie, odchodząc na lewo). Błędny chłopak!

Blandinet. Nie wydadzą ci go dziś wieczór. Wieczorem koza zamknie.

Franciszek. Tak sądzisz?... dajno mi kieliszek wódki. (Siada po prawej).

Blandinet. Natychmiast! (Zbliża się do bufetu).

Franciszek. Kiedy nie mogę go widzieć, będę pisał do niego..., całą noc! to mi ulży!

Blandinet (ogląda cukierniczkę). Oh!...

Franciszek. Co się stało?

Blandinet. Było osiem kawałków, jest tylko pięć.

Franciszek. Tam do licha!

Blandinet (bierze karafkę z wódką i ogląda ją). Ubyło! (Wyciąga

chustkę z kieszeni i mierzy). A co? o! gdzie węzelek?

Franciszek. Cóż, teraz wierzysz mi? — masz najlepszy dowód, że na tym świecie trzeba wszystko zamykać, a czy ciągle mieć otwarte. Dobrej nocy! ja już nie mam pregnienia... Ah, rozbójnik! (Wychodzi do swego pokoju).

SCENA XIV.

Blandinet (sam).

To niepodobna!... ja się omyliłem. (Rachuje na nowo cukier). Dwa, cztery, pięć... A! Józefie, Józefie! przecież ja ci nigdy nie odmawiałem cukru!... Zdaje mi się, że Franciszek ma słuszość... Ja należę do tych, których biorą na kawał... Zmienimy pozycję... a na początek pozamykamy wszystko... (Idzie do szafy, zamyka na dwa spusty i chowa klucz do kieszeni). Zdaje się, że świat jest zamykany samymi oszustami, restauratorami, szewcami, bratankami i fagasami... (Bierze cukierniczkę, karafkę i świecę zapaloną). Albo przyjaciele... ten Aubertin... Gucio!... szkaradne imię!... (Zabiera mufkę i obydwie pary butów). Nie dosyć, że zabiera mi pięćdziesiąt tysięcy franków... jeszcze... zastawia siła na moją syna... chce go ożenić ze swoją córką... córką bankruta! — Ale ja czuwał... ja mam się na baczności... oho! — nie mnie brać na kawał. (Idąc do swojego pokoju). A jednak byłem szczęśliwy wczoraj.

(Koniec aktu IIgo).

A K T III.

(Gabinet Blandineta. — Biuro, biblioteczka, stół na środku sceny; —
troje drzwi w głębi i po bokach).

SCENA I.

Henryka — Józef — później
Małgorzata.

Henryka (do Józefa, który trzyma w ręku ważkę). Coż ty tu robisz z temi ważkami?

Józef. Nie wiem, proszę pani, bo pan kazał mi je kupić. (Kładzie ważki na biurko).

Małgorzata (wchodzi z prawej). Proszę pani! pan żąda rachunków z całego roku.

Henryka (na stronie). Co on wyrabia teraz? — Dzisiaj o świcie zbudził mnie i żądał odemnie rachunków z toalete. (Do Małgorzaty). Gdzie pan jest teraz?

Małgorzata. W swoim pokoju! wertuje rachunki pani.

Henryka (na stronie). Doprawdy! zaczynam wierzyć, że on zwarjował.

SCENA II.

Ciż sami — Blandinet.

Blandinet (wchodzi z prawej, trzymając w ręku książkę rachunkową — woła). Józefie!

Józef. Proszę pana! oto są ważki.

Blandinet (biorąc je do ręki). Aha, dobrze!... a czy sprawiedliwe?

Józef. Przecież przyniosłem je wprost od kupca.

Blandinet. To mi racja! kupiec to jest nasz wróg naturalny... Pamiętaj, że będziesz ważyl wszystkich kupców.

Józef (zdziwiony). Jakto! ja mam ważyc kupców?

Blandinet. Ale nie kupców, tylko ich towary. I zawsze mnie zawołasz, ja chcę być przy tem.

Józef. Dobrze, proszę pana. — (Cicho do Małgorzaty). Co jemu się stało?

(Józef i Małgorzata wychodzą).

SCENA III.

Henryka — Blandinet — później
Józef — jeszcze później Małgorzata — w końcu Leon.

Henryka. Zkąd ten brak zaufania? te niedowierzania?

Blandinet. Życie jest spacerem... poznałem, że jestem na złej ścieżce... założyłem okulary... i teraz idę inną ścieżką.

Henryka. Zamęczysz się takimi głupstwami!... Będiesz nieszczęśliwym.

Blandinet. Wcale nie! powziąłem już postanowienie... jestem bardzo wesoły... Czuję niewymowną przyjemność w przypatrywaniu się wszystkim szelmostwom moich bliznich. — Studjuję zwierzęta szkolne.

Henryka. Czyż można się tak wyrażać o ludziach, którzy cię szanują, kochają i przyjmują gościnnie?

Blandinet. Moja kochana! pajak także przyjmuje gościennie w swoich salonach muchy.

Henryka. Ah! cóż za porównanie.

Blandinet. Byłbym szczęśliwy... ale bardzo szczęśliwy! gdyby ktoś

przyszede! zażądać odemnie jakiegś przysługi.

Henryka. Otóż tak, to lubię! teraz poznaję ciebie.

Blandinet. Odmówiłby jej... bez litości!

Henryka. Jakto!

Blandinet. Teraz pojmuję rozkosz odprawiania z niczem swoich bliźnich.

Henryka (śmiejąc się). Ależ to barbarzyńska rozkosz

Blandinet. Wcale nie! to jest cywilizacja. — Aha! oto masz tu twoją książkę rachunkową. — Ty nie wiesz zapewne, że mój kapelusznik to złodziej.

Henryka (bierze książkę, kładzie na stole i przechodzi na prawo). Cóż znowu?

Blandinet. Mam na to dowody! Porachował mi w tym roku cztery kapelusze, a ja wziąłem tylko dwa. To tak postępuje sobie ojciec rodziny!... szczególnie!

Henryka. Ależ on zapisał twoje dwa kapelusze i dwa Leona.

Blandinet. Jesteś tego pewna?

Henryka. Najpewniejsza!

Blandinet (niezadowolony). Ah! to co innego — w takim razie nie mam mu nic do zarzucenia. (Na stronie). Ale ja go złapię innym razem.

Małgorzata (wchodząc). Proszę pani! ja nie mogę znaleźć kluczyka od szafy.

Blandinet (szukając po kieszeniach). Oto jest! ale przynieś mi go natychmiast.

Józef (wchodząc). Nie wiem, co się stało z kluczykami od kredensu?

Blandinet (jak wyżej). Oto jest! przynieś mi go natychmiast. Poproś tu mojego syna.

(Małgorzata i Józef wychodzą).

Henryka. Cóż ty wszystkie klucze wsadziłeś do swojej kieszeni?

Blandinet. O! gdyby cukiernica przemówić mogła... dowiedziałabyś się, że na kluczyki najlepsze miejsce w kieszeni gospodarza domu... to zasada.

Leon (wchodzi z lewej). Wołałeś mnie, ojcze?

Blandinet. Tak! musisz mi jedną rzecz wyjaśnić. Dziś rano rzuciłem okiem na książkę rachunkową twojej matki; zostałem uderzony następującymi datami: (Bierze książkę i czyta). „Szóstego maja — Leon, różne wydatki — sto franków“... Na cóż to poszło?

Leon. Hm! nie przypominam sobie... to już tak dawno!... jesteśmy już w listopadzie...

Blandinet. Tak! (Otwiera książkę i czyta). „Dziwiątego czerwca — Leon, różne wydatki — sto pięćdziesiąt franków“... Ty masz mnóstwo tych różnych wydatków.

Leon. Ależ, ojcze...

Blandinet. Ja cię nie podejrzewam... ale radbym wiedzieć, na co ty wydajesz twoje pieniądze?... Od dziś dnia dostaniesz sto franków na miesiąc.

Henryka. Oho!

Blandinet. Jeżeli ci to nie wystarczy... to mi powiesz.

Leon. To wystarczy, ojcze...

Józef (wychodzi). Proszę pana, rzeźnik.

Blandinet. Ah, dobrze! bardzo dobrze! idę. (Zacieraając ręce). Ah, teraz się uśmiejemy.

(Wychodzi z Józefem).

SCENA IV.

Leon — Henryka — później
Alfred — Franciszek.

Leon. Co to wszystko ma zna-
czyć?

Henryka. Nic nie rozumiem! —
Nie poznaję twojego ojca... on jest
chory.

Franciszek (wychodzi z Alfredem).
Wejdz, hultaju! — i skryj się ze
wstydu pod ziemię!

Henryka i Leon. Cóż się stało?

Franciszek. Przedstawiam wam
panicza, który wychodzi z kozy —
za długi.

Alfred. Ale...

Franciszek (z gniewem). Spuść
oczy!

Alfred (na stronie). Niech i tak
będzie, kiedy zapłacili!...

Franciszek (do Henryki). Wy
obraż sobie pań!...

Henryka. Przepraszam pana, ale
ktoś czeka na mnie. (Wychodzi na
prawo).

Franciszek. A teraz, kiedy już
nie jesteśmy na ulicy i kiedy nie
obawiam się zbiegowiska... (grożąc)
pogadamy ze sobą.

Leon. Mój stryjasku!

Franciszek. Zostaw nas samych.
(Leon chce wyjść na lewo, Alfred
(giestem go zatrzymuje). —

Alfred. Leonie!

Franciszek (tonem rozkazującym).
Zostaw nas samych!

(Leon wychodzi).

SCENA V.

Franciszek — Alfred — później
Leon.

Franciszek. Zbliż się, bandyto!
A więc ty masz kredyt w mieście?

ty znajdujesz głupców, którzy przy-
mują twój kredyt!

Alfred. Ojcie! ja...

Franciszek. Udałeś się zatem do
lichwiarzy?

Alfred. Potrzebowałem koniecz-
nie dwustu franków.

Franciszek. Po co? — aby zja-
dać indyki z truflami?!

Alfred. Aby się żywić czem-
kolwiek?

Franciszek (siadając przy stole).
Mów! potem osądzę cię.

Alfred. Wskazano mi handlarza
mebli... bardzo dzielny i zacny
człowiek! On ośmiał się pożyczyć
mi tę sumę bez procentu.

Franciszek (zdziwiony). Proszę,
proszę...

Alfred. Zaraz!... ale położył je-
den warunek: że kupię od niego
trzy komody, które mu zawadzały
w magazynie.

Franciszek. Ha, trudno! — to
handel.

Alfred. Otóż ten dzielny czło-
wiek kazał mi podpisać weksel na
cztery tysiące franków.

Franciszek. Powiedziałeś na dwa
tysiące.

Alfred. Komody są bardzo drogie
w Paryżu — jak ich kto nie po-
trzebuje

Franciszek. I cóż dalej?

Alfred. Nadszedł termin.. ja —
nie zapłaciłem.

Franciszek. Trzeba było pisać
do mnie.

Alfred. Uczyniłem to właśnie!
a ojciec odpisał mi: „Nie mnie brać
na kawał — twój całem sercem
etc“.

Franciszek (okazując żal z tego
powodu). Cóż dalej?

Alfred. Handlarz mebli stracił

cierpliwość! — Na szczęście zapoznałem się z handlarzem szalów... człowiek bardzo przystępny., wyliczył mi natychmiast cztery tysiące franków bez procentu...

Franciszek. Proszę.

Alfred. Tylko dał mi do zrozumienia, że byłoby mu bardzo przyjemnie, gdybym kupił od niego szal turecki! Ja nie miałem szala... więc przystałem. Wystawiłem mu weksel na osiem tysięcy franków.

Franciszek. Nieszczęśliwy! cztery tysiące franków za szal?!

Alfred. Są szale na rozmaite ceny... a ten jest bardzo ładny!

Franciszek. Dasz mi go!... Jak się będziesz żenił, to ci się przyda.

Alfred. Bardzo słusznie. (Kładąc kartkę na stole) Oto jest szal.

Franciszek (biorąc kartkę). Co to takiego?! — karta zastawnicza? (Groząc mu). Ah, hultaju! to ty zastawiasz?

Alfred (rezolutnie). Wówczas, gdy jestem głodny.

Franciszek. Jakto głodny? — a lekcje, korepetycje...

Alfred. Wprowadziłem cię w błąd! — ja nie mam żadnej.

Franciszek. A z czego żyłeś przez dwa lata?

Alfred. Albo ja wiem? — ale były dnie, w których kładłem się spać popijając wodę.

Franciszek. Ah, mój Boże! (Na stronie, bardzo wzruszony). Eh! — biedne dziecko... pijał wodę. Jak on schudł! (Głośno). Alfredzie!

Alfred. Ojcie!

Franciszek. Pójdź w moje objęcia!

Alfred (całując oca). Progi ojcie!

(Wchodzi Leon).

Leon. Proszę, proszę.

Franciszek (placząc). Dla czegoż nie pisał do mnie, mój chłopcze?... (Spostrzega Leona). Mój drogi!...

Leon. Co stryjaszek rozkaże?

Franciszek. Czy nie mógłbyś mi sprokurować natychmiast trzy albo cztery befsztyki i butelkę Bordeaux?

Leon. Bardzo łatwo! — niech stryj tylko raczy przejść do ~~okna~~ ~~okna~~ ~~okna~~ zaraz poda.

Franciszek. Oh! to nie dla mnie... ja nie jestem głodny.

Alfred (wzruszony). Ani ja.

Franciszek. To nic nie znaczy! ja chce, żebyś jadł, żebyś się zre-staurował.

Alfred. Kiedy ojciec każe?...

Franciszek. Podaj mi ramię, będę się przypatrywał jak ty jesz. Biedne dziecko! (Macając jego ramię). Boże! jakie to wszystko chude. (Całuje go, bierze pod ramię jakby się bał, aby nie upadł). Pójdź! (Wychodzi z nim na lewo).

SCENA VI.

Leon — Blandinet.

Leon (śmiejąc się). On go teraz udusi z miłości. (Przechodzi na prawo).

Blandinet (wchodzi zacierając ręce). Zważyłem mięso! siedem gramów mniej i dwie wielkie kości. I to się nazywa porządny rzeźnik, ojciec rodziny! to zabawne!

Leon. Mój ojcie!

Blandinet. A, to ty?

Leon. Już wpół do dwunastej.

Blandinet. I cóż z tego?

Leon. O dwunastej ma przyjść pan Anbertin po pięćdziesiąt tysięcy franków, które mu przyrzekłeś.

Blandinet. Ah, prawda! zapomniałem o tem.

Leon (zdziwiony). Jakto!?

Blandinet. Daję słowo! zapomniałem.

Leon. Idzie tu przecież o starego przyjaciela! a twoje serce... jestem pewny, przypomni ojcu, co masz czynić.

Blandinet. Oh! moje serce... w moim wieku, nie trzeba wcale na ten organ liczyć.

Leon. A ja jednak liczę, mój ojciec. (*Ścisną go za rękę*). Do widzenia, ojciec. (*Wychodzi*).

SCENA VII.

Blandinet — później Józef.

Blandinet (*sam*). Dziecko! aż mi przykro, że ma takie sentymentalne usposobienie. (*Otwiera kasę i wyciąga ztamtąd paczkę banknotów*). Oto są te pięćdziesiąt tysięcy franków w biletach bankowych. Ale co to jest, że wszystkie takie nowe? (*Licząc*). Jeden, dwa, trzy... to nieprzyjemna rzecz pożyczać takie nowe banknoty. — Najczęściej potem oddają stare, podarte. — Cztery, pięć... jeżeli w ogóle oddają... sześć, siedem, osiem... Aubertin nigdy mi ich nie odda... to człowiek zgubiony!... dziewięć, dziesięć... jego okręt nie jest asekurowany... jedenaście... Moskale z pewnością schwycili jego okręt... to naród czynny, ~~przedsiębiorczy i odważny~~... Na czemże ja stanąłem?... Dobryś! trzeba zacząć na nowo... Jeden, dwa... uf! jak gorąco. — zabawne, jak pożyczanie pieniędzy wzrusza... trzy, cztery, pięć... a potem, czy on ma w ogóle jaki okręt w drodze?... on mi tak powiedział, ale ja tego okrętu nie

widziałem... Sześć, siedem... gdyby go ~~nie~~ ta suma mogła ocalić?... ale ona go nie ocali!... Osiem... ona pójdzie tylko na zaspokojenie wierzycieli... dziewięć... którzy się wyśmieją z niego... dziesięć... i ze mnie... jedenaście... (*Uderzony myślą*). A gdybym się poradził Franciszka?! — ale po co?... w każdym razie nie mam obowiązku płacić temu panu za okręt stracone... Mam żonę... mam dzieci — jak powiadają — i ja miałbym narażać ich spuściznę?... nie! toby było głupio. (*Chowa banknoty do kieszeni*). Ale koniec końców ja bronie moje mienie. (*Siada do stołu i pisze*). „Drogi przyjacielu! katastrofa nieprzewidziana nie pozwala mi pożyczyć ci te pięćdziesiąt tysięcy franków, które przyrzekłem. Jest to dla mnie zmartwienie niewysłowione; odmawiając, piszę sie zawsze całym sercem ect.“ (*Dzwoni*).

Józef (*wychodzi*). Pan dzwonił?

Blandinet. Ten list oddasz po dług adresu, jak najprędzej.

Józef. Czy poczekać na odpowiedź?

Blandinet. Nie, nie! nie potrzebujesz czekać.

Józef. Dobrze proszę pana! — Ubiore się i zaraz idę. (*Wychodzi*).

Blandinet (*sam*). A jej ej! jej oj! co ja uczyniłem! — To złe, to szkaradnie postąpić tak ze starym przyjacielem. (*Wolając*). Józefie!... (*Zmieniając postanowienie*). Nie! — owszem... dobrze zrobił... staje się takim, jak cały świat.

SCENA VIII.

Blandinet — *Aubertin* — później

Józef.

Aubertin (*wchodząc*, mówi za

kulise) List do mnie? — dobrze, dawaj tu!

Blandinet (na stronie). To on!

Aubertin. Ah, mój przyjacielu! co za radość, co za szczęście — jestem uratowany!

Blandinet. Jaktó!

Aubertin. Mój okręt „Piękna Irena” jest już w Hawrze!

Blandinet. Oh!

Aubertin. Zawinął do portu dzisiaj rano. — Właśnie otrzymałem tę wiadomość... Ah, mój przyjacielu! ucałuj mnie, bo mój majątek uratowany.

Blandinet. O! z przyjemnością! (Całuje go, na stronie). Tam do licha! mój list..

Aubertin. Przybiegłem zaraz do ciebie udzielić ci tej szczęśliwej wiadomości i powiedzieć, że już nie potrzebuję twoich pięćdziesiąt tysięcy franków.

Blandinet (na stronie). Aj! gdybym był wiedział!

Aubertin. Drogi Blandinet... nie, nie! — Mundziu! (Ściskają się za rękę). Drogi Mundziu!

Blandinet (zażenowany). Gueni! drogi Gueni!

Aubertin. Utrata majątku spowodowała nie raz przykre doświadczenia, ale ma także dobre strony, bo poznajemy wówczas prawdziwych przyjaciół. (Kładzie rękę z listem na ramię Blandineta).

Blandinet (na stronie). Ah, mój list! trzeba go wziąć. (Aubertin przekłada rękę na drugie ramię Blandineta).

Aubertin. O nie! nigdy ci nie zapomnę tego, coś chciał dla mnie uczynić.

Blandinet (jak wyżej). Nie mówmy już o tem.

Aubertin. A nasze dzieci, nasze drogie dzieci... jakżeż one będą szczęśliwe! Wczoraj Leon prosił mnie o rękę mojej córki.

Blandinet. A wiem o tem.

Aubertin. Ale pojmujesz?... w moim wczorajszym położeniu... gdy mi zagroziła ruina majątkowa... nie mogłem nic innego uczynić, jak powiedzieć: czekaj mój przyjacielu, i iniej nadzieję.

Blandinet. Jaktó!

Aubertin. Wczoraj nie mógłbym twojemu synowi oddać mojej córki bez posagu.

Blandinet (ściskając go za rękę). Ah, Gueni!

Aubertin. Ale dzisiaj jestem bogaty! może bogatszy od ciebie — i nam zaczęty prosić cię o rękę syna.

Blandinet. O, jakżem szczęśliwy! — Oddaj-no mi list. (Chce mu go odebrać).

Aubertin. Co tobie jest? — aha! twój list.

Blandinet (przymuszając się do uśmiechu). Już niepotrzebny! — oddaj mi go.

Aubertin. Ale owszem, ja chcę wiedzieć, co ty piszesz do mnie.

Blandinet. Ale.

Aubertin (otwierając list). Ah, mój Boże!

Blandinet (na stronie). Dobryś! co mu teraz powiedzieć?

(Józef wchodzi głębia i na pierwsze słowa Aubertina zatrzymuje się i słucha).

Aubertin (czyta). „Katastrofa nieprzewidziana”... Ah, mój biedny przyjacielu. -- A więc to prawda, co o tobie mówiono w mieście?... nie śmiałem ci wspomnieć o tem.

Blandinet. Cóż takiego?

Aubertin. Twoi bankierowie, panowie Tourneps i Spółka uciekli!

Blandinet. Ah, mój Boże! co ty mówisz?

Aubertin. Jakto! nie wiedziałeś o tem?

Blandinet. Nie!

Aubertin (wskazując list). A cóż w takim razie...

Blandinet. Ale owszem! o katastrofie wiedziałem... ale... gdzież oni są?

Aubertin. Jeszcze nie nie wia domo.

Blandinet. Mam trzy kroć sto sięcy franków u nich... Jestem ujunowany!

Aubertin. Ah, mój drogi przyjacielu! mój biedny przyjacielu!... ki cię! — a tyś taki pocziwy, takim poświęceniem!... ale bądź pokojny! odwagi! my się jeszcze obaczmy! (Wychodzi żywo).

SCENA IX.

Blandinet — Józef.

Blandinet (siadając przy stole). Dobryś! zabrał się i poszedł... oświadczył mi po takiej usłudze, którą ci o mało co nie oddałem... Nie ma co mówić — on już nie po róci. (*Spostrzega Józefa*). Ten gdzie żądał odemnie zaległej pensji. (*Józef płacze*). Oho! nie miał braci na kawał! — Płacze, by mieć dobre świadectwo — dobrze, dobrze, będziesz je miał.

Józef (ze łzami w głosie). Możeby pan raczył zatrzymać mnie i dać w służbie? — Ja nie żądam żadnej pensji... a co do wikt, to mnie nie trudno zaspokoić.

Blandinet (zdziwiony). Jakto! chcesz służyć u mnie bez płacy?

Józef (płacząc). Byłoby mi bardzo przykro opuszczać dom pański.

Blandinet. Co, co? on na prawdę płacze!

Józef (jak wyżej). Taki dobry pan!... Przeszłego roku, gdy był zakatarzony, to mi sam przynosił ziółek pektoralnych... sam! jak Boga kocham.

Blandinet (rozrzuwiony). Ah, Józefie! bardzo mi przykro, że mój zrujnowany... ale z drugiej strony to mi przyjemność sprawia.

SCENA X.

Ciż sami — *Henryka* — *Leon*.

Henryka (wychodząc z *Leonem* z lewej i widząc ich płaczących). Co, co! lzy?

Leon. Cóż się stało?

Józef. Ah, pani! pan jest zrujnowany.

Leon i Henryka. Zrujnowany?!

Blandinet. Cóż począć? — zbytne zaufanie... głupota...

Henryka. Mój drogi!

Leon. Ojciec!

Henryka. A! teraz pojmuje twój niepokój... reformę, którą chciałeś zaprowadzić w gospodarstwie.

Józef. Gdyby nie to, czyż pan byłby ważył mięso?

Henryka. Mam brylanty, koralonki — sprzedamy je.

Blandinet (na stronie). Ona chce sprzedać swoje brylanty!..

Leon. Pomimo tego jeszcze rano ofiarował mi ojciec sto franków miesięcznie. — A ja nie chcę!... jestem młody, będę pracował... teraz na mnie kolej zaspakajanie twoje życzenia.

Blandinet (jak wyżej). Dzielnym chłopak!

Henryka. Mój drogi! będziemy cię tak otulać naszymi dwoma sercami, że nie uczujesz głodu i niedostatku.

Józef. Naszemi trzema sercami.
(Wszyscy łkają).

Blandinet (biorąc pod rękę Leona i Henrykę). ~~Jako tak dalej, tylko tak dalej!~~ — Gdybyście wiedzieli, jak się szczęśliwym czuję... o tak! tylko rodzina... tylko rodzinie wierzyć można i trochę służącym. (Do Józefa). Dzięki, Józefie! to cię rehabilituje trochę.

Józef. Z czego, proszę pana?

Blandinet. Eh, nie! prawie nic. Wczoraj... ten cukier i ta wódka... ale nie mówmy już o tem.

Józef. Wczoraj? — ależ to pan Alfred grog sobie zrobił.

Blandinet. Doprawdy? (Na stronie). A ja jego obwiniałem. (Szuka po kieszeniach i dobywa niezliczone mnóstwo kluczyków). Masz, Józefie, miałem je przy sobie nie dla tego, abym ci nie dowierzał, ale tak, aby je uporządkować.

SCENA XI.

Ciż sami — *Mizabran*.

Mizabran (wchodzi żywo, bardzo wzruszony). Szanowny... zachny panie!

Blandinet. Co tam takiego?

Mizabran. Dowiedziałem się właśnie o tym wypadku i przynoszę czynsz za dwa kwartały. (Daje mu pieniądze).

Blandinet, Leon i Henryka. Co?

Blandinet. Ah, *Mizabran*.

Mizabran. Resztę zapłacę na pierwszego.

Blandinet. Nie ma się co spieczyć.

Mizabran. Gdyś pan był bogatym, mógłś czekać, ale dzisiaj...

Blandinet (ocierając oczy banknotami). Ah, *Mizabran* — to szlachetne, bardzo szlachetne. (Na stronie). Jego skóra może nie w najlepszym gatunku, ale za to serce... (Głośno, z wylaniem). *Mizabran*, ja potrzebuję butów!

Mizabran. Nie, panie! już więcej robić nie będę.

Blandinet. Jednakowoż...

Mizabran. Nie, panie! oto pańska miara. (Rozdziera ją).

Blandinet (na stronie). A więc i szewcom wierzyć można.

SCENA XII.

Ciż sami — *Franciszek* — *Alfred*.

Franciszek (wchodząc z Alfredem z lewej). Ładnych rzeczy się dowiaduje... Jesteś zrujnowany... w twoim wieku! — Ja to przewidywałem, dałeś się pewnie wziąć na kawał jak ostatni dureń!..

Alfred (na stronie). Biedny stryjasek!

Blandinet (na stronie). On mnie w ten sposób pociesza. (Idzie w głąb z Henryką, Leon sadza go).

Franciszek. Będziesz miał nieprzyjemności, procesa... polecam ci Alfreda, on jest adwokatem.

Blandinet. Dziękuję. (Na stronie). Jeżeli mi nie więcej nie ofiaruje...

Alfred. Ojczy!

Franciszek. Co takiego?

Alfred. Muszę ci wyznać otwarcie, że ja nie jestem jeszcze adwokatem...

Franciszek. Jakto?

Alfred. — Bo ja... pieniądze na rygroza przejadłem.

Franciszek. Oh! — no, jeżeli przejadł, to jeszcze pół biedy. (Na stronie, macając jego ramię). Biedny chłopak. (Głośno). Zjemy razem obiad.

(Franciszek siada do biurka i pisze — Alfred ściska rękę Leona, potem zbliża się do swego stryja).

Alfred (cicho do Blandineta). Stryjaszku!

Blandinet. Co takiego?

Alfred (wymując szpilkę brylantową, cicho). Weź to! a niech się ojciec nie dowie.

Blandinet. Szpilka brylantowa?

Alfred. To cały mój majątek.

Blandinet (odmawiając). Później, później — jak będę potrzebował. (Na stronie). Pocziwy chłopak! a ja nie chciałem pożyczyć mu dwadzieścia luidorów. — O! bratan-kowie są pocziwi, tylko bracia... jak na przykład mój... W tej chwili pisze najspokojniej.

Franciszek (wstaje i mówi opryskliwie do Blandineta). Masz! podpisz, podpisz to osłe jakiś.

Blandinet. Cóż to takiego?

Franciszek. Akt spółki.

Blandinet. Z tobą?

Franciszek. Przecież trzeba po-prawić trochę twoje interesa.

Blandinet (rzucając się w jego objęcia). Ah, Franciszku!

SCENA XIII.

Ciż sami — *Laura* — *Aubertin*.

Aubertin (wchodząc z Laurą i widząc Blandineta w objęciach brata). No, no! — nie rozpaczaj, wszystko da się naprawić.

Leon i Henryka. Pan Aubertin.

Aubertin (wyciągając papier z kieszeni — do Blandineta). Masz! Podpisz to.

Blandinet. Co takiego?

Aubertin. Akt spółki.

Blandinet. Znowu! (Rzucił się na szyję). Ah, Guen! (Na stronie, płacząc i ocierając oczy).

Chce mnie przyjąć do spółki... a ja sądziłem, że już nie powróci. Jednak i w przyjaciół wierzyć należy.

Aubertin. A tutaj przyprowadzam ci Laurę, abys ją prosił o rękę dla twojego syna.

Blandinet. To niemożliwe!... Leon nie ma majątku.

Aubertin. Owszem, ma!... ma pięćdziesiąt tysięcy franków, które chciałeś mnie pożyczyć.

Blandinet (żywo). Nie mówmy już o tem.

Aubertin. Owszem, mówmy! — Ja mu daję pięćdziesiąt tysięcy franków, które miałeś mi pożyczyć.

Blandinet (na stronie). Mój Boże! jacy ludzie pocziwi.

Laura. A zresztą — ja mam dosyć majątku na dwoje! — a potem mogę się wyrzec rozmaitych przyjemności...

Blandinet. Mój Boże! jakie te kobiety pocziwe.

Aubertin. A potem — może jeszcze nie wszystko stracone, bo twego bankiera aresztowano na granicy belkijskiej.

Leon. Pana Tournes?

Blandinet. Wiesz — moje trzy króć sto tysięcy franków...

Leon. Ależ one nie były już u niego. — Upoważniony przez ciebie ojciec odebrałem je i zaniósłem do banku.

Wszyscy. Ah!

Blandinet. Czy podobna!... jestem znowu bogaty. — Mizabran! oddaję ci twoje dwa kwartały.

Rekwizyta.

(Prawa i lewa strona od widzów.)

AKT I. Salon — meble eleganckie — kanapa z prawej — krzesło i stolik — z lewej stolik i trzy krzesła — w środku stolik i trzy krzesła — koszyczek z robótką — kłódek jedwabiu — stolik nakryty na trzy osoby — ~~szus~~ — trzy nakrycia — talerz z rzodkiewką — butelka wina — ~~szus~~ kieliszki — papierosy — podstawka na popiół — półmisek z jedzeniem — taca — zastawa do kawy na trzy osoby — taca — mała karafka z likierem — kieliszki — arkusz papieru wypisany — notyska z ołówkiem — miara papierowa szewska — torba ręczna — bilety na fanty — pieniądze złote — pugilares z pieniędzmi — tabliczka — kredka — list wypisany.

AKT II. Salon jadalny — meble wyplatane — z prawej większy stół pokryty obrusem i cztery krzesła, w głębi kredens — z lewej stolik, trzy krzesła, w głębi szafa i lustro stojące — w kredensie butelki, cukiernica, szklanki, kieliszki, cukier, karafka z wodą, łyżeczki, pełna karafka z winem czerwonym, cztery świece do zapalenia i zapalniczki, potrzeby do pisania, koperty, list wypisany, miednica z wodą, mała i ręcznik, kubek z wodą gorącą, rachunek, dwie pary butów z cholewanami, plik banknotów [30], pieniądze brzęczące, dzwonek dla scenarjusza, porasolka.

AKT III. Gabinet — meble porządne — z prawej biurko, fotel i krzesło — w środku duży stół pokryty zielonem suknem, trzy krzesła — z lewej kanapa, stolik, dwa krzesła — w głębi kasa, w niej dużo akcji, losów i pieniędzy papierowych — biurko, do niego dwa klucze, potrzeby do pisania, papier zwykły arkuszowy, koperty, list wypisany, dzwonki, kuja rachunkowa wypisana, waga większa miedziana, kartka zastawnicza w pigilaresie, list w kopercie, pęk kluczyków i kilka osolno — dwa banknoty i miara jak w pierwszym akcie, arkusz papieru

22

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa

Pichay

1872
1873
1874

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000225209



II 541049